

# Clark Mary Higgins

## Cicha noc

Catherine Dornan przyjeżdża z synami tuż przed Bożym Narodzeniem do Nowego Jorku, gdzie jej ciężko chory mąż ma się poddać operacji. Aby oderwać się od smutnych myśli, wybierają się we trójkę w wigilijne popołudnie obejrzeć słynną choinkę przed Rockefeller Center. Tam młodszy z chłopców jest świadkiem, jak jakaś kobieta kradnie portfel Catherine. Pod wpływem impulsu rusza za złodziejką. Tak rozpoczyna się podróż, podczas której znajdzie się w śmiertelnym niebezpieczeństwie i dotrze aż na granicę z Kanadą.

1

Była Wigilia w Nowym Jorku. Taksówka posuwała się powoli w dół Piątej Alei. Dochodziła siedemnasta. Ulicami płynęła rzeka ludzi pragnących zrobić ostatnie świąteczne zakupy, urzędników spieszących do domów i turystów podziwiających wspaniałe witryny sklepowe i bajecznie przystrojoną choinkę przed Rockefeller Center.

Zapadł już zmrok, a niebo zasnuło się chmurami, z których zgodnie z prognozą pogody miał na Boże Narodzenie spaść śnieg. Jednak migocące kolorowo sznury lampek, dźwięki kołęd, pobrzękiwanie dzwoneczków Świętych Mikołajów i radosny gwar pędzącego w różne strony tłumu sprawiły, że na tej słynnej nowojorskiej ulicy panował niepowtarzalny klimat gwiazdkowego rozgardiaszu.

Catherine Dornan siedziała z tyłu taksówki, obejmując ramionami swoich dwóch synów. Wyczuwała u nich napięcie i niezwykłą sztywność, co świadczyło, że jej matka miała rację. Cierpkie uwagi dziesięcioletniego Michaela i milczenie o trzy lata młodszego Briana upewniły ją, że chłopcy rzeczywiście zamartwiali się chorobą ojca.

Wczesnym popołudniem, gdy telefonowała ze szpitala do matki, nie mogła powstrzymać się od płaczu, chociaż doktor Crowley, stary przyjaciel męża, zapewniał ją, że Tom zniósł operację lepiej niż przewidywano; zasugerował nawet, aby chłopcy odwiedzili ojca o siódmej wieczorem. Matka powie-

działała jej wtedy stanowczym tonem: „Catherine, musisz wziąć się w garść. Chłopcy są przerażeni, a ty pogarszasz jeszcze ich stan. Myślę, że powinnaś chociaż na chwilę odwrócić ich uwagę od choroby ojca. Pojedźcie do Rockefeller Center, niech obejrzą choinkę, a później idźcie gdzieś na obiad. Gdy widzą, jak rozpaczasz, ich lęk, że ojciec umrze, tylko się powiększa”.

Ale to nie może się stać, pomyślała Catherine. Całą sobą buntowała się przeciwko temu, co wydarzyło się w ciągu ostatnich dziesięciu dni, poczynając od tego fatalnego telefonu ze szpitala St. Mary. „Catherine, czy możesz natychmiast przyjechać? Tom zasłabł podczas obchodu”. Słyszając to pomyślała, że zaszła jakaś pomyłka. Szczupły, wysportowany mężczyzna w wieku trzydziestu ośmiu lat nie mdleje. A poza tym Tom zawsze żartował mówiąc, że pediatrzy są zawodowo uodpornieni na wszystkie wirusy i bakterie, z jakimi stykają się lecząc swoich pacjentów. Tyle że nie był uodporniony na leukemię i musiał natychmiast poddać się operacji usunięcia nadmiernie powiększonej śledziony. W szpitalu powiedziano jej, że Tom zlekceważył pojawiające się już prawdopodobnie od kilku miesięcy symptomy tej niebezpiecznej choroby. A ja byłam tak głupia, pomyślała Catherine, że sama niczego nie zauważyłam.

Wyjrzała przez okno i zobaczyła, że przejeżdżają obok Płaza Hotel. Jedenaście lat temu, dokładnie w dniu jej dwudziestych trzecich urodzin, wyprawiali tutaj przyjęcie weselne. Panny młode są zazwyczaj zdenerwowane w dniu ślubu. Ona nie była. Prawdę mówiąc, niemal biegła wówczas przez nawę kościoła, zmierzając w stronę ołtarza. Dziesięć dni po ślubie świętowali skromne Boże Narodzenie w Omaha, gdzie Tom dostał pracę w znakomitym oddziale pediatrycznym tamtejszego szpitala. Kupili wtedy na wyprzedziły tę zabawną sztuczną choinkę, a Tom podniósł drzewko w górę i zawołał: „Uwaga, klienci Kmartu...”

A w tym roku pieczołowicie wybrana przez nich jodła wciąż jeszcze leżała w garażu, z gałęziami związanymi sznurkiem.

Zdecydowali, że na czas operacji pojedą całą rodziną do Nowego Jorku. Spence Crowley, najbliższy przyjaciel Toma, był jednym z najlepszych chirurgów w szpitalu Sloan-Kettering.

Catherine skrzywiła usta na wspomnienie trwogi, jaką ją ogarnęła, gdy po operacji pozwolono jej wreszcie zobaczyć męża.

Taksówka zatrzymała się przy krawężniku.

— Czy *tutaj*, proszę pani?

- Tak, doskonale — odpowiedziała wyjmując portfel i zmuszając się, aby jej głos zabrzmiał wesoło. - Tatuś i ja byliśmy tu już z wami pięć lat temu na Boże Narodzenie. Brian był wtedy bardzo mały, ale ty, Michael, chyba coś pamiętasz?

- Tak - potwierdził krótko Michael. Trzymając dłoń na klamce przyglądał się, jak matka wyjmuje z przegródki na banknoty pięć dolarów. - Skąd masz przy sobie tyle pieniędzy, mamusiu?

— Wczoraj, gdy przyjmowano tatę do szpitala, musiałam zabrać wszystkie pieniądze, jakie miał przy sobie. Powinnam je poukładać, gdy wrócimy do babci.

Catherine wysiadła z taksówki za Michaeliem i przytrzymała drzwi gramolącemu się za nią Brianowi. Stali tuż przed wejściem do tomu towarowego Saksa, na rogu Czterdziestej Dziewiątej i Piątej Alei.

Przechodnie zatrzymywali się przed olbrzymimi witrynami tego eleganckiego sklepu i cierpliwie czekali, aż zwolni się miejsce przy szybie, aby dokładnie obejrzeć świąteczną dekorację. Catherine wzięła chłopców za ręce i zaprowadziła na koniec kolejki.

-Przyjrzymy się wystawie, a potem pójdziemy na drugą stronę ulicy, skąd lepiej widać choinkę.

Brian westchnął ciężko. I to ma być Boże Narodzenie! Nienawidził stania w kolejkach. Postanowił zrobić to co robił zawsze, gdy chciał, aby czas szybciej płynął. Wyobrażał sobie wtedy, że znajduje się już tam, gdzie chciał być. Tego wieczora pragnął jak najszybciej znaleźć się w pokoju szpitalnym swojego taty. Nie mógł się doczekać, kiedy go wreszcie zobaczy i wrę-

czy prezent, który, jak powiedziała babcia, pomoże mu wrócić do zdrowia.

Brian był tak zatopiony w myślach o mającym nastąpić wkrótce spotkaniu z ojcem, że kiedy przyszła ich kolej na oglądanie wystawy, ledwo zauważył dekorację z lalkami, elfami i zwierzętami, które tańczyły i śpiewały wśród wirujących płatków śniegu.

Gdy zbliżali się do przejścia, zauważył grupkę ludzi otaczających młodego człowieka, który wyjmował z futerału skrzypce i szykował się do grania. Po chwili rozległy się dźwięki kolędy j „Cicha noc” i stojący na chodniku przechodnie zaczęli śpiewać.

Catherine odwróciła się i powiedziała łamiącym się z bólu głosem:

- Poczekajcie chwilę, posłuchajmy.

Brian wiedział, że mama z trudem powstrzymuje łzy. Aż do dnia, gdy tydzień temu zatelefonowano ze szpitala, aby powiedzieć, że tata jest poważnie chory, nigdy nie widział jej płaczącej.

Cally szła wolno w dół Piątej Alei. Minęła już siedemnasta, ale na ulicy było pełno ludzi obładowanych torbami i paczkami. W innych okolicznościach Cally czułaby zapewne takie samo podniecenie jak oni, ale tego dnia była po prostu śmiertelnie zmęczona. Praca w szpitalu wyczerpywała ją. Święta Bożego Narodzenia ludzie chcą zazwyczaj spędzić we własnych domach, więc pacjenci zachowywali się jak naburmuszone dzieci. Ich ponure twarze przypominały Cally jej własne przygnębienie, jakie odczuwała podczas dwóch ostatnich Wigilii, które spędziła w zakładzie karnym dla kobiet w Bedford.

Gdy mijała katedrę św. Patryka, zwolniła na chwilę kroku wspominając, jak babcia przychodziła tu z nią i jej bratem Jim-mym, aby obejrzeć żłobek. Było to dwadzieścia lat temu; ona miała dziesięć lat, a Jimmy sześć. Pomyślała, że byłoby cudownie móc cofnąć się w czasie do tamtego okresu i tak pokierować ich przyszłością, aby nie wydarzyły się te wszystkie złe rzeczy, które sprawiły, że Jimmy jest teraz tym, kim jest.

Wystarczyło, że Cally tylko wspomniała jego imię, a już przez jej ciało przebiegł dreszcz. Dobry Boże, spraw, aby zostawił mnie w spokoju, zaczęła się gorąco modlić. Tego dnia wczesnym rankiem usłyszała głośne walenie do drzwi swojego mieszkania na rogu Wschodniej Dziesiątej i Alei B. Gdy z trzymającą się kurczowo jej szyi Gigi poszła otworzyć, na źle oświetlonym korytarzu zobaczyła detektywa Shore i jeszcze jednego mężczyznę, który przedstawił się jako detektyw Levy.

- Cally, znowu ukrywasz swojego brata?

Wiedziała od razu, że Jimmy'emu udało się zbiec z więzienia na Riker Island.

- Będzie sądzony za usiłowanie zabójstwa strażnika - ciągnął detektyw lodowatym tonem. - Ranny jest w stanie krytycznym. Twój brat strzelił do niego i ukradł mundur. Jeżeli pomagałaś Jimmy'emu w ucieczce, tym razem zamkniemy cię na znacznie dłużej niż piętnaście miesięcy. Byłby to ponowny współudział w przestępstwie, a teraz mówimy o usiłowaniu zabójstwa lub o zabójstwie pracownika wymiaru sprawiedliwości. Cally, to naprawdę poważna sprawa.

- Nigdy sobie nie daruję, że dałam wtedy Jimmy'emu pieniądze - powiedziała cicho Cally

- Rozumiem. I kluczyki do samochodu - przypomniał jej. -Cally, ostrzegam cię. Tym razem nawet nie próbuj mu pomóc.

- Nie będę. Może mi pan wierzyć. Wtedy nie wiedziałam, co on zbroił. Przez chwilę obserwowała, jak obaj detektywi penetrują wzrokiem wnętrze jej mieszkania.

- Nie krępujcie się - zdenerwowała się nagle. - Sprawdzajcie dokładnie. Nie ma go tutaj. A jeżeli chcecie założyć podsłuch w moim telefonie, bardzo proszę. Chcę, żebyście mogli usłyszeć, gdy powiem Jimmy'emu, żeby oddał się w ręce policji. To wszystko, co mam mu do powiedzenia. Z trudem torując sobie drogę przez tłum nowojorczyków i turystów, Cally modliła się, aby podczas tej ucieczki Jimmy jej nie znalazł. Miała nadzieję, że mu się to nie uda. Gdy tylko

odsiedziała swój wyrok, natychmiast odebrała Gigi z domu dziecka. Opiekunka społeczna znalazła dla nich maleńkie mieszkanie przy Wschodniej Dziesiątej, a jej załatwiła pracę salowej w szpitalu St. Luke-Roosevelt.

To będą jej pierwsze od dwóch lat święta Bożego Narodzenia, jakie spędzi razem z Gigi. Gdyby tylko miała za co kupić jej jakiś prezent. Czteroletnia dziewczynka powinna mieć własny wózek dla lalek, ale na pewno nie aż tak sfatygowany, właściwie nadający się na śmiecie, a tylko taki udało jej się zdobyć za darmo. Nawet nowiutka kołderka i poduszka nie były w stanie ukryć zniszczenia wózka. A może powinna raczej poszukać tego ulicznego sprzedawcy lalek, którego spotkała w zeszłym tygodniu gdzieś w tej okolicy. Lalki były po osiem dolarów, a jedna z nich nawet przypominała trochę Gigi.

Nie miała wtedy przy sobie takiej sumy, ale mężczyzna powiedział, że w Wigilię będzie na pewno na Piątej Alei, gdzieś pomiędzy Pięćdziesiątą Siódmą a Czterdziestą Siódmą. Boże, Cally znowu zaczęła się modlić - spraw, żeby aresztowali Jimmy ego, zanim znowu kogoś skrzywdzi. Z nim jest coś nie w porządku.

Stojący na chodniku ludzie śpiewali „Cichą noc”. Gdy podeszła bliżej, zorientowała się, że to nie kołędnicy, ale przechodnie zgromadzeni wokół ulicznego skrzypka, który wygrywał kołędowe melodie.

\*\*\*

„...pokój ludziom niesie wszem...”.

Brian nie śpiewał z innymi, chociaż „Cicha noc” była jego ulubioną kołędą, a on sam należał do dziecięcego chóru w Omaha. Marzył zresztą w tej chwili, aby zamiast w Nowym Jorku być teraz w swoim rodzinnym miasteczku, ubierać z resztą rodziny choinkę w salonie, i aby wszystko było tak jak zawsze.

Bardzo lubił Nowy Jork i zawsze z niecierpliwością wyczekiwał wakacyjnego wyjazdu do babci, ale taki pobyt jak teraz zdecydowanie mu nie odpowiadał. Nie podobało mu się, że spę-

dzają tu Wigilię, że tata leży w szpitalu, mama jest bardzo smutna, a Michael ciągle go strofuje, chociaż jest starszy tylko o trzy lata. Brian wcisnął dłonie do kieszeni marynarki. Czuł, że zmarzły, mimo że miał ciepłe rękawiczki. Co chwila niecierpliwie spoglądał na gigantyczną choinkę po drugiej stronie ulicy. Wiedział, że za chwilę mama powie: „No dobrze. Znajdźmy teraz jakieś dobre miejsce, aby przyjrzeć się drzewku”.

Choinka była niezwykle wysoka, ustrojona jasno świecącymi lampkami, a na czubku miała olbrzymią gwiazdę. Jednak Bria-na wcale to w tej chwili nie interesowało, podobnie jak nie dbał o świąteczną dekorację w witrynach tego eleganckiego sklepu, które właśnie skończyli oglądać. Nie miał także ochoty słuchać ulicznego skrzypka ani w ogóle stać na tej ulicy.

Uważał, że tracą po prostu czas. Chciał już iść do szpitala

1 zobaczyć, jak mama daje tacie medalion ze świętym Krzysztofem, ten sam, który uratował życie dziadkowi podczas drugiej wojny światowej. Nawet teraz, po tylu latach, na medalionie widać było wgniecenie po kuli. Babcia poprosiła mamę, aby podarowała tacie ten medal, a mama przyrzekła jej to, choć z trudem tłumiąc śmiech dodała:

- „Mamo, Krzysztof to postać z mitologii chrześcijańskiej. Obecnie nie uważa się go już za świętego, a tak naprawdę to pomógł jedynie tym ludziom, którzy sprzedają takie medaliony, służące głównie do przyczepiania na desce rozdzielczej w samochodach.

- Catherine, twój ojciec wierzył, że święty Krzysztof pomógł mu przeżyć kilka bardzo niebezpiecznych bitew i to jest najważniejsze. On w to wierzył i ja też. Proszę cię, daj ten medalion Tomowi i okaż wiarę”.

Brian niecierpliwił się, słuchając matki. Jeśli babcia wierzyła, że tata szybciej wyzdrowieje mając przy sobie ten medal, to mama powinna jak najszybciej mu go zanieść. Sam uważał, że babcia ma rację.



Skrzypek przestaj grać, a kobieta, która zaintonowała kolędę, ruszyła w obchód z plecionym koszyczkiem. Brian przyglądał się, jak ludzie rzucają do niego monety i banknoty.

Mama sięgnęła do przewieszanej przez ramię torebki i wyjęła z portfela dwa jednodolarowe banknoty.

- Michael, Brian, wrzućcie to do koszyczka.

Michael schwycił banknot i zaczął przepychać się do przodu. Brian ruszył za nim, ale kątem oka zauważył, że portfel wcale nie wrócił na swoje miejsce. Najwyraźniej w panującym dookoła ścisku mama nie trafiła dłonią do torebki i portfel upadł na ziemię.

Brian cofnął się, aby go podnieść, ale zanim zdołał to zrobić, czyjaś ręka schwyciła portfel i podniosła go z ziemi. Chłopiec zdążył dostrzec, że należała ona do chudej kobiety w przeciwdeszczowym płaszczu, uczesanej w koński ogon.

- Mamusiu! - zawołał, ale wszyscy śpiewali już następną kolędę i mama nie usłyszała. Kobieta, która podniosła portfel, energicznie przeciskała się przez tłum, najwyraźniej pragnąc jak najszybciej się oddalić. Brian ruszył jej śladem. Jeszcze raz odwrócił się, aby zawołać mamę, ale śpiewała razem z innymi kolędę o trzech Mędrcach. Śpiewali tak głośno, że nie było najmniejszej szansy, aby go usłyszała.

Zawahał się, patrząc na nią przez ramię. Może jednak powinien przecisnąć się przez tłum i podejść do matki? Ale natychmiast pomyślał o medalionie, który miał pomóc ojcu; nie mógł pozwolić, aby ktoś go ukradł.

Kobieta w przeciwdeszczowym płaszczu właśnie skręcała za róg ulicy. Brian pobiegł za nią.

Cally zastanawiała się gorączkowo nad tym, co zrobiła, idąc szybko Czterdziątą Ósmą w kierunku Madison Avenue. Zre-, zygnowała z wcześniejszego planu, aby odszukać sprzedawcę lalek. Zamiast tego postanowiła dojść do stacji metra na Lexington Avenue. Zdawała sobie sprawę, że byłoby szybciej, gdyby wsiadła do kolejki na Pięćdziesiątej Pierwszej, ale portfel parzył

ją w kieszeni jak rożarzona cegła i wydawało jej się, że wszyscy dookoła patrzą na nią podejrzliwie. Dworzec Grand Central Station na pewno będzie zatłoczony, a stamtąd też może pojechać do domu. To miejsce będzie znacznie bardziej bezpieczne.

Gdy skręciła w prawo i przechodziła na drugą stronę ulicy, tuż obok niej przejechał policyjny samochód. Cally poczuła, że mimo chłodu oblała się potem.

Prawdopodobnie należy do tej kobiety z dwójką małych chłopców. Leżał na ziemi tuż pod jej nogami. Cally odtworzyła w myślach sytuację, gdy w tłumie śpiewających koledy dostrzegła szczupłą, młodą kobietę, ubraną w pasowy zimowy płaszcz podbity futrem. Był bez wątpienia drogi, podobnie jak torba i buty tej kobiety; jej ciemne, spadające na kołnierz włosy lśniły. Wyglądała na kogoś, kto nie ma żadnych problemów.

Cally pomyślała, że chciałaby wyglądać tak jak ona. Były w tym samym wieku i miały podobne sylwetki i włosy. Może w przyszłym roku będzie ją stać na jakieś lepsze ciuchy dla Gigi i dla siebie.

Odwróciła głowę i spojrzała na okna wystawowe Saksa. Nie widziałam, jak upuszczała portfel, pomyślała. Ale gdy przechodziła obok tej kobiety, na coś nadepnęła i dopiero gdy spojrzała w dół, zobaczyła go.

Czemu po prostu nie zapytałam, czy to nie jej portfel?

Cally poczuła wyrzuty sumienia, ale natychmiast przypomniała sobie, jak wiele lat temu jej babcia wróciła do domu bardzo przejęta i zdenerwowana. Znalazła na ulicy portfel, a w środku był adres i nazwisko właścicielki. Wróciła kilka ulic, aby go odnieść, chociaż już wtedy cierpiała na zaawansowany reumatyzm i każdy krok sprawiał jej ból. Właścicielka portfela przeliczyła pieniądze i powiedziała, że brakuje dwudziestu dolarów.

Babcia opowiadała jej o tym roztrzęsiona. „Przecież ona oskarżyła mnie po prostu o kradzież”.

Wspomnienia te napłynęły, gdy Cally dotknęła portfela. Załóżmy, że rzeczywiście należy do kobiety w pasowym płaszczu.

Co będzie, jeżeli ona także oskarży Cally o kradzież pieniędzy? A może nawet wezwie policję? Wyjdzie wtedy na jaw, że jest na zwolnieniu warunkowym. Policja na pewno nie da wiary jej zeznaniom, podobnie jak nie uwierzyli, że pożyczyła Jimmy emu pieniądze i samochód, ponieważ powiedział, że jeżeli nie zniknie natychmiast z miasta, zabije go jakiś facet z innego gangu.

Boże, dlaczego w ogóle wzięłam do ręki ten portfel, zastanawiała się coraz bardziej przerażona. Postanowiła, że wrzuci go do najbliższej skrzynki pocztowej. Ale już po chwili uznała, że to nie jest dobry pomysł. W przedświątecznym okresie w centrum miasta na pewno jest wielu tajniaków. Co będzie, jeżeli któryś zauważy co robi? Nie, lepiej natychmiast wrócić do domu. Aika, kobieta, która odbierała Gigi po zamknięciu przedszkola, z pewnością już ją przyprowadziła. Robiło się późno.

Włożę portfel do koperty, napiszę adres właściciela i jak najszybciej wrzucę do skrzynki, postanowiła Cally. To wszystko, co mogę zrobić. Była już na Grand Central Station. Tak jak przypuszczała, kłębił się tu tłum ludzi spieszących do pociągów i metra, aby zdążyć na kolację wigilijną. Z trudem torowała sobie drogę do stacji przy Lexington Avenue. Wrzuciła żeton do automatu i pobiegła do ekspresowego pociągu w kierunku Czternastej Ulicy, nie zdając sobie sprawy, że tuż za nią prześlizgnął się pod kołowrotkiem kilkuletni chłopczyk, od pewnego czasu podążający uparcie jej śladem.

Słuchając tak dobrze jej znanych słów kolędy, Catherine miała wrażenie, że los okrutnie z niej zakpił, dając nagle odczuć, jak kruche jest jej szczęście i poczucie błogostanu. Jej mąż leży w szpitalu chory na leukemię. Właśnie usunięto mu śledzionę, która lada moment mogła pęknąć. Chociaż było jeszcze za wcześnie na ostateczne potwierdzenie, wszystko wskazywało na to, że operacja się udała. Catherine nie mogła jednak pozbyć się paralizującego lęku, że Tom może umrzeć. Nie wyobrażała sobie życia bez niego. Gnębiło ją pytanie, czemu nie zdała sobie w porę sprawy, że mąż jest chory? Pamiętała, jak zaledwie dwa tygodnie temu, gdy poprosiła go, aby przyniósł z samochodu zakupy, nachylił się, aby wyjąć z bagażnika najcięższą torbę, chwilę się wahał, a potem z trudem ją wyciągnął, stękając przy tym z wysiłku. Śmiała się wtedy z niego.

Michael, wrzuciwszy dolara do koszyczka skrzypka, wrócił do matki i pociągnął ją za rękaw płaszcza.

- Gdzie jest Brian? - zapytał. Catherine spojrzała na syna.

- Brian? - powtórzyła bezmyślnie. - Jest gdzieś tutaj. Rozejrzała się dookoła, przeszukując wzrokiem najbliższe otoczenie.

- Dałam mu dolara. Nie poszedł z tobą wrzucić go do koszyczka?

- Nie - odburknął Michael. - Pewnie zatrzymał pieniądze dla siebie. To matolek.

- Przestań natychmiast - upomniała go. Jeszcze raz nerwowo rozejrzała się wokół siebie.

- Brian! - zawołała. - Brian!

Ludzie powoli rozchodzili się. Gdzie się podział Brian? Przecież nie odszedł tak po prostu.

- Brian!

Tym razem Catherine krzyknęła dużo głośniej, a w jej wołaniu wyczuwało się już panikę. Kilkoro przechodniów obejrzało się na nią ze zdziwieniem.

- Mały chłopiec - poinformowała ich zdenerwowana. - Był ubrany w niebieską kurtkę narciarską i czerwoną czapkę. Może ktoś widział, dokąd poszedł?

Patrzyła, jak kręcą głowami, rozglądają się na wszystkie strony, najwyraźniej starając się jej pomóc. Jakaś kobieta wskazała ręką na witryny sklepowe Saksa.

- Może poszedł tam?

- A może chciał obejrzeć choinkę? Może przeszedł na drugą stronę ulicy, żeby lepiej ją zobaczyć? - zasugerowała inna kobieta.

- A katedra? - zapytał jeszcze ktoś.

- Nie, nie. Brian by tego nie zrobił. Idziemy właśnie odwiedzić męża w szpitalu. Mój syn nie mógł się już doczekać, kiedy zobaczy tatę.

Mówiąc to uświadomiła sobie nagle, że stało się coś strasznego. Poczula, że po policzkach płyną jej łzy. Sięgnęła do torebki, aby wyjąć chusteczkę i niemal w tej samej chwili zdała sobie sprawę, że coś jest nie tak: nie wyczuwała pod palcami znajomego kształtu portfela.

- Och, mój Boże! - zwołała. - Nie mam portfela.

- Mamusiu! - Michael stracił nagle całą pewność siebie, za którą starał się ukryć niepokój o ojca. Był znowu przerażonym dziesięcioletnim chłopczykiem. - Mamusiu, czy ktoś porwał Briana?

- Jak to się mogło stać? Przecież nikt go stąd nie wyciągnął siłą. Nie, to niemożliwe.

Catherine poczuła, że ma nogi jak z waty.

- Trzeba zadzwonić na policję - zaszlochała. - Mój synek zaginął.

\*\*\*

Na stacji panował tłok. Jakiś mężczyzna obładowany pakunkami szturchnął Briana łokciem w ucho.

- Przepraszam, mały.

Chłopiec z trudem nadażał za kobietą, która miała portfel jego matki. Ciągle tracił ją z oczu. Nie chcąc przeciskać się pomiędzy bagażami, próbował obejść jakąś rodzinę z kilkorgiem dzieci, tarasującą mu drogę. Wyminął ich, ale zaraz wpadł na biegnącą kobietę, która spojrzała na niego karcąco.

- Uważaj, jak chodzisz - pouczyła go. -Przepraszam - powiedział grzecznie Brian, zadzierając głowę.

Gdy po chwili rozejrzał się, nie dostrzegł osoby, za którą szedł, i pomyślał, że stracił ją z oczu. Odnalazł ją dopiero na schodach prowadzących w dół, na stację metra. Natychmiast pobiegł długim korytarzem w tym kierunku. Widział, jak kobieta przechodzi przez bramkę na peron, więc prześlizgnąwszy się zrećźnie pod blokującym wejście kołowrotkiem, wskoczył za nią do pociągu.

Kobieta stała niedaleko drzwi, trzymając się górnej poręczy. Brian przesunął się bliżej niej i kurczowo chwycił się drążka. Zaraz za pierwszą stacją kobieta zaczęła szykować się do wyjścia. Przed Brianem stało kilku pasażerów i ledwie udało mu się w porę wysiąść z wagonu. Natychmiast ruszył za złodziejką, która zmierzała w kierunku schodów prowadzących na peron innej linii metra.

Tym razem pociąg był dużo luźniejszy. Brian stanął obok starszej pani, która przypominała mu babcię. Kobieta w płaszczu przeciwdeszczowym wysiadła na drugim przystanku; po-

szedł za nią, starając się nie stracić z oczu jej końskiego ogona, gdy biegła po schodach na ulicę.

Wyszli na ruchliwe skrzyżowanie. Brian obejrzał się. Jak sięgał wzrokiem, widział same budynki mieszkalne. Ulica rozświetlona była światłami padającymi z tysięcy okien.

Kobieta z portfelem stała na skraju chodnika. Gdy tylko zaświecił się napis *Isć*, przeszła na drugą stronę, skręciła w lewo i szybkim krokiem skierowała się w dół ulicy. Idąc za nią, Brian szukał wzrokiem tabliczki z nazwą ulicy. Podczas ostatnich wakacji, gdy byli w Nowym Jorku, mama bawiła się z nim w obliczanie odległości, ucząc go orientacji w tym wielkim mieście. „Babcia mieszka na Osiemdziesiątej Siódmej - mówiła na przykład. - My jesteśmy na Pięćdziesiątej. Ile przecznic stąd jest dom, w którym mieszkamy? ” Teraz znajdował się na Czternastej Ulicy.

W pewnej chwili poczuł na twarzy płatki śniegu. Wiatr był coraz silniejszy, a mróz szczypał już porządnie w policzki. Brian modlił się, aby w pobliżu pojawił się jakiś policjant, którego mógłby poprosić o pomoc, ale nikogo takiego nie dostrzegł. Wiedział, że musi iść za tą kobietą aż do jej mieszkania. Wciąż miał przy sobie dolara, którego dała mu mama dla ulicznego skrzyпка. Mógł go rozmienić, zatelefonować do babci i poprosić, aby przysłała policję pod wskazany przez niego adres.

To dobry plan, pochwalił się w myślach. Nie miał co do tego żadnych wątpliwości. Musiał odebrać portfel i znajdujący się w środku medalion. Przypomniał sobie, jak babcia, usłyszawszy od mamy, że święty Krzysztof nic tacie nie pomoże, włożyła jej do ręki medal i powiedziała: „Daj to, proszę, Tomowi i okaż wiarę”.

Twarz babci, gdy to mówiła, promieniowała taką pewnością i spokojem, że Brian wierzył jej bez reszty. Gdy tylko odbierze medalion i da go tacie, on od razu poczuje się lepiej.

Kobieta z końskim ogonem jeszcze przyspieszyła kroku, przeszła na drugą stronę mijanej przecznicy i skręciła w prawo.

Ulica, na której teraz się znajdowali, nie była oświetlona tak jasno jak poprzednia i nie było na niej świątecznie udekorowa-

nych sklepów. Niektóre domy miały pozabijane deskami drzwi i okna, a ściany pokryte były graffiti. Lampy uliczne w większości były zdewastowane. Brian zobaczył mężczyznę z brodą, siedzącego na krawężniku i ściskającego w dłoniach butelkę. Gdy przechodził obok, facet wyciągnął w jego stronę rękę.

Po raz pierwszy tego wieczora Brian naprawdę się przestraszył. Wiedział jednak, że nie może zgubić śladu kobiety. Padał coraz większy śnieg i chodnik zrobił się śliski. Chłopiec w pewnym momencie potknął się, ale udało mu się jakoś utrzymać równowagę. Starając się dotrzymać kroku śledzonej, zastanawiał się, jak długo to jeszcze potrwa? Odpowiedź otrzymał cztery domy dalej. Kobieta zatrzymała się przed wejściem do starej kamienicy, włożyła klucz do drzwi i zniknęła wewnątrz. Brian rzucił się do przodu, usiłując dopaść drzwi, zanim się zamkną, ale nie miał szczęścia. Zatrzasnęły mu się dosłownie przed nosem.

Gdy tak stał, nie bardzo wiedząc co robić dalej, zobaczył przez szybę mężczyznę idącego w kierunku drzwi. Otworzył je wychodząc i w tym momencie Brianowi udało się wślizgnąć do środka.

Korytarz był ciemny i odrapany, śmierdziało starym tłuszczem i zepsutą żywnością. W oddali Brian słyszał kroki wchodzącej po schodach osoby. Walcząc z narastającym strachem, wszedł po cichu na pierwsze piętro. Chciał zobaczyć, dokąd poszła kobieta. Potem będzie mógł wrócić i poszukać telefonu. Pomyślał, że zamiast dzwonić do babci od razu wykręci numer 911.

Mama zawsze mu powtarzała, że jeżeli kiedykolwiek będzie naprawdę potrzebował pomocy, powinien skorzystać z tego właśnie telefonu.

Aż do tego dnia nie był jeszcze w takiej sytuacji.

\*\*\*

- No dobrze, pani Dornan. Proszę opisać nam swojego syna ~ powiedział spokojnie policjant.



- Ma siedem lat, ale nie wygląda na tyle - zaczęła Catherine. Czowała, że drży jej głos. Siedzieli w policyjnym radiowozie zaparkowanym tuż obok domu towarowego Saksa, niedaleko miej -sca, gdzie słuchała kolęd granych przez ulicznego skrzypka.

Michael ścisnął ją za rękę, aby podtrzymać na duchu. -Jakie ma włosy? - zapytał policjant.

- Takie jak ja - odpowiedział Michael. - Trochę rudawe. Oczy niebieskie. Mój brat ma piegi i nie ma jednego zęba. Nosi takie same spodnie jak ja, i podobną kurtkę, tylko nie zieloną, a niebieską. Jest chudy.

Policjant spojrział na chłopca z aprobatą.

- Naprawdę nam pomagasz, synu. A teraz, proszę pani, co z tym portfelem? Upuściła go pani czy raczej ktoś wyciągnął go z torebki? To znaczy, czy sądzi pani, że to zrobił jakiś kieszonkowiec?

- Nie wiem - odpowiedziała Catherine. - Nie zależy mi na portfelu. Ale może, gdy dawałam synom pieniądze dla grajka, nie włożyłam go z powrotem wystarczająco głęboko do torby. Był dość gruby i mógł wypaść na ziemię.

- Czy pani syn nie mógł go podnieść i pójść na zakupy?

- Nie, nie, nie - zaprzeczyła oburzona, potrząsając głową.

- Gdzie pani mieszka? Chciałem zapytać, czy nie chce pani do kogoś zatelefonować. Może do męża?

- Mąż jest w szpitalu Sloan-Kettering. Jest bardzo chory. Będzie się niepokoił naszą nieobecnością. Prawdę mówiąc, niedługo mamy się z nim spotkać. - Catherine chwyciła za klamkę. -Nie mogę tak tu siedzieć.

Muszę szukać Briana.

- Pani Dornan. Za chwilę przekażę dalej rysopis Briana. W ciągu trzech minut będzie go szukał każdy policjant na Manhattanie. Mógł się po prostu zagapić i stracić orientację. To się zdarza. Czy często bywacie w centrum miasta?

- Kiedyś mieszkaliśmy w Nowym Jorku, ale przeprowadziliśmy się do Nebraski - odpowiedział Michael. - Co roku jednak odwiedzamy babcię, która mieszka na Osiemdziesiątej Siódmej. Przyjechalismy tu w zeszłym tygodniu, ponieważ mój

tata jest chory na leukemię i musiał się poddać operacji. Chodził na studia medyczne razem z doktorem, który go operował.

Manuel Ortiz pracował jako policjant dopiero od roku, ale nieraz już zetknął się z ludzkim bólem i rozpaczą. Z oczu tej młodej kobiety mógł odczytać i jedno, i drugie. Jej mąż leży w szpitalu, a synek zaginął. To naturalne, że jest w szoku.

- Tata nie powinien się dowiedzieć, co się stało — powiedział nagle Michael. - Mamo, czy nie powinnaś już do niego pójść?

- Pani Dornan, czy zgodziłaby się pani, aby Michael został z nami? Będziemy tu stać na wypadek, gdyby Brianowi udało się wrócić w to miejsce. Za chwilę wszyscy nasi ludzie zaczną go szukać. Ruszą w miasto i będą go nawoływać przez megafony, może wciąż jest gdzieś niedaleko i nie umie znaleźć drogi powrotnej. Wezwę kolegę, który podwiezie panią do szpitala i poczeka tam, aż skończy się wizyta.

- Zostaniecie tutaj?

- Oczywiście.

- Michael, proszę cię, rozglądaj się, może Brian sam się odnajdzie.

- Jasne, mamo. Będę szukał tego matolka.

- Nie nazywaj go tak... — Catherine spojrzała w twarz starszemu synowi. On chce się mnie stąd pozbyć, pomyślała. Usiłuje mnie przekonać, że Brianowi nic się nie stało. Ze znajdzie się cały i zdrowy.

- Do góry głowa, mamo — powiedział Michael.

3

Jimmy Siddons zaklął pod nosem, przechodząc przez owalny skwerek niedaleko Alei A, i skierował się w stronę kompleksu budynków Stuyvesant Town. Mundur, który ściągnął ze strażnika więziennego, niewątpliwie dodawał mu powagi, ale niebezpiecznie było poruszać się w nim po ulicach. Zdecydowanie potrzebował jakiegoś innego ubrania, czegoś porządnego.

Potrzebował również samochodu. Najlepszy byłby taki, którego aż do rana nikt nie będzie szukał, jakieś auto zaparkowane już na noc, może należące do któregoś z mieszkańców tego burżuazyjnego osiedla: średniej wielkości, brązowe lub czarne, nie wyróżniające się między hondami, toyotami i fordami. Nic rzucającego się w oczy.

Na razie jednak nie znalazł jeszcze tego, czego szukał. Co prawda natknął się raz na hondę, z której wysiadał jakiś stary przyk, mówiąc do pasażera: „Jak dobrze być wreszcie w domu”, ale samochód był, niestety, krzykliwie czerwony.

Później jakiś dzieciak zaparkował mu swój samochód tuż przed nosem, ale słysząc rżenie silnika Jimmy od razu stracił ochotę na skorzystanie z choćby jednej części tego auta. Tylko tego mi potrzeba, pomyślał, wyjechać takim gratem na autostradę i tam się rozkraczyć.

Był zmarznięty i głodny.

Przede mną jeszcze dziesięć godzin jazdy samochodem, obliczał. A potem będę już w Kanadzie, znajdę Paige i znikniemy z powierzchni ziemi.

Paige była jego pierwszą prawdziwą dziewczyną; swego czasu pomogła mu w Detroit. Skrzywił się, przypomniawszy sobie zeszłe lato. Był pewien, że nie złapaliby go, gdyby lepiej przygotował ten napad na stację benzynową w Michigan. Powinien być na tyle przewidujący, aby sprawdzić kibel na zewnątrz biura i nie dać się zaskoczyć wychodzącemu stamtąd gliniarzowi po służbie, który napatoczył się dokładnie w momencie, gdy trzymał na muszce właściciela stacji.

Już następnego dnia był w drodze powrotnej do Nowego Jorku. Wieziono go na proces, w którym miał być sądzony za zabójstwo policjanta. Obok przeszła para w podeszłym wieku. Staruszkowie uśmiechnęli się do Jimmy<sup>^</sup>go, życząc mu szczęśliwych świąt.

*Jimmy* odpowiedział *grzecznym* skinieniem głowy. Zaraz jednak zainteresował się nimi bliżej, słysząc jak kobieta mówi:

- Ed, nie mogę zrozumieć, dlaczego nie schowałeś prezentów dla dzieci w bagażniku. Kto w dzisiejszych czasach zostawia na widoku paczki w samochodzie zaparkowanym na noc?

Jimmy skręcił za róg, a następnie skrył się w cieniu na trawniku i zawrócił, aby obserwować parę, która po chwili zatrzymała się przed ciemną toyotą. Mężczyzna otworzył drzwiczki samochodu. Wyciągnął z tylnego siedzenia małego konia na biegunach i podał go kobiecie, a następnie wyjął jeszcze z pół tuzina owiniętych w błyszczący papier paczek. Z pomocą żony przeniósł wszystko do bagażnika, po czym starannie zamknął auto i oboje skierowali się w stronę chodnika.

Jimmy usłyszał jeszcze słowa kobiety:

- Mam nadzieję, że telefon jest dobrze schowany w futerale na rękawiczki.

- Na pewno. Nie mogę się już doczekać, aby zobaczyć minę Bobby'ego, gdy będzie rozpakowywał te prezenty - odpowiedział jej mąż.

Jimmy poczekał, aż skręcili za róg budynku i zniknęli mu z oczu. Był pewien, że z okien swojego mieszkania nie widzą parkingu.

Dwie minuty później wyjeżdżał już z osiedla. Postanowił odwiedzić Cally w jej mieszkaniu na rogu Dziesiątej i B. Wiedział, że będzie zaskoczona jego wizytą. I niezbyt się nią ucieszy. Pewnie myśli, że on jej nie znajdzie. Ale może nie jest aż tak naiwna, aby sądzić, że kochany braciszek siedząc w Riker Island nie znajdzie sposobu na zdobycie jej adresu.

Siostrzyczko, zwracał się do niej w myślach, wjeżdżając na Czternastą Ulicę, przecież obiecałaś babci, że będziesz się mną opiekować! Babcia zawsze mówiła: „Jimmy potrzebuje pomocy. Wpadł w złe towarzystwo. Zbyt łatwo daje się prowadzić”. A ty ani razu nie odwiedziłaś mnie w więzieniu. Ani razu. W ogóle nie dałaś znaku życia.

Powinien być ostrożny. Domyślał się, że gliny będą obserwować mieszkanie jego siostry, czekając, aż się tam pojawi. Ale on był na to przygotowany. Doskonale znał tę okolicę i wiedział, jak przedostać się po dachach z jednego budynku na drugi. Robił to wiele razy jako dziecko. Dobrze znał Cally i był pewien, że trzyma w szafie ubrania Franka. Miała fioła na jego punkcie, zapewne wszędzie w mieszkaniu wiszą jego zdjęcia. Trudno to zrozumieć wiedząc, że ten człowiek zmarł jeszcze przed urodzeniem Gigi.

Spodziewał się też, że ma kilka dolców, które da swojemu małemu braciszkowi, aby mógł zapłacić za autostrady. Na pewno ją przekona, aby trzymała gębę na kłódkę, dopóki on nie znajdzie się ze swoją Paige w Kanadzie.

Paige. Nagle zobaczył jej twarz. Jasną. Otoczoną blond włosami. Ma dopiero dwadzieścia dwa lata i szaleje za nim. Wspaniale to wszystko przygotowała, nawet pistolet przemyciła do więzienia. Nigdy go nie zawiedzie, nigdy się od niego nie odwróci.

Na twarzy Jimmy'ego pojawił się nagle nieprzyjemny uśmiech. Ty nigdy się mną nie przejmowałaś, siostrzyczko, na-

wet gdy gnilem na Riker Island, pomyślał, ale teraz musisz mi pomóc uciec, czy to ci się podoba czy nie.

Zaparkował samochód na tyłach budynku, gdzie mieszkała Cally, i udając, że sprawdza oponę, rozejrzał się dookoła. Żadnych glin w pobliżu. Nawet jeżeli obserwują dom, nie wiedzą prawdopodobnie, że można się do niego dostać przez nie używany śmietnik. Jimmy wyprostował się i nagle zaklął głośno. Cholerna naklejka na zderzaku. Zbyt rzucająca się oczy. *Marnujemy dziedzictwo naszych wnuków*. Na szczęście udało mu się prawie całą zerwać.

Piętnaście minut później sforsował prosty zamek w drzwiach mieszkania Cally i znalazł się w środku. Dość liche, pomyślał, patrząc na splekany sufit i zużyte linoleum w niewielkim przedpokoju. Ale czyste. Cally zawsze była schludna. W kącie pomieszczenia służącego za pokój dzienny stała choinka, a pod nią leżało kilka małych, opakowanych w kolorowy papier paczuszek.

Jimmy wzruszył ramionami i wszedł do sypialni. Tak jak przewidywał, znalazł w szafie męskie ubranie. Przebrał się i zaczął zaglądać w różne zakamarki mieszkania, szukając pieniędzy. Nic jednak nie znalazł. W końcu pchnął drzwi oddzielające pokój od niewielkiego pomieszczenia, w którym stała kuchenka i lodówka. Miał nadzieję, że napije się piwa, ale ponieważ go nie znalazł, zrezygnowany wyciągnął pepsi i zrobił sobie kanapkę.

Cally mniej więcej o tej porze powinna wrócić z pracy w szpitalu. Trochę już zdenerwowany usiadł na kanapie i wbił wzrok w drzwi wejściowe. Te kilka dolarów, jakie znalazł w kieszeni munduru strażnika więziennego, wydał na jedzenie u ulicznych sprzedawców. Potrzebował pieniędzy na opłaty drogowe i benzynę. Co się z tobą dzieje, Cally, pomyślał poirytowany, gdzie do diabła jesteś?

Dziesięć przed szóstą usłyszał, jak ktoś wkłada klucz do zamka w drzwiach. Zerwał się na równe nogi i trzema susami przesadził odległość dzielącą go od przedpokoju. Niemal przykleił

się do ściany. Począł, aż Cally wejdzie do środka i zamknie za sobą drzwi, a wtedy zakrył jej dłonią usta.

- Nie krzycz! - wyszeptał. - Zrozumiałaś? Pokiwała głową, patrząc na niego struchlała ze strachu.

- Gdzie jest Gigi? Czemu nie ma jej z tobą?

Zwolnił uścisk na tyle, aby mogła zaczerpnąć powietrza i usłyszał jej zdławiony, bardzo cichy głos.

- Jest jeszcze u opiekunki. Została tam dzisiaj dłużej, żeby mogła zrobić zakupy. Jimmy, co ty tu robisz?

- Ile masz pieniędzy?

- Tutaj jest moja torebka.

Cally wręczyła mu ją, modląc się, aby nie zechciał przeszukiwać jej kieszeni w płaszczu. Boże, prosiła, spraw, żeby sobie poszedł.

Jimmy wziął torebkę i odezwał się głosem, w którym brzmiała groźba:

- Cally, puszcę cię, ale nie próbuj żadnych sztuczek, bo Gigi straci matkę. Rozumiesz, co mówię?

- Tak, tak.

Odczekała chwilę i odwróciła się powoli w stronę Jimmy'ego. Nie widziała go od tamtej strasznej nocy, prawie trzy lata temu, gdy trzymając Gigi na rękach wróciła z pracy w przedszkolu, a on czekał w jej mieszkaniu w West Village.

Stwierdziła, że wygląda niemal tak samo jak wtedy, tylko ma krótsze włosy i szczuplejszą twarz. W jego oczach nie znalazła bodaj cienia przyjaznego uczucia, które poprzednim razem napełniło ją nadzieją, że może kiedyś wyjdzie jeszcze na ludzi. Nic podobnego. Nie było w nim już ani śladu tamtego sześciolatniego, zalęknionego chłopca, który tulił się do niej, gdy matka podrzuciła oboje babci i na zawsze zniknęła z ich życia.

Jimmy otworzył jej torebkę i wyjął jaskrawozielony portfelik.

- Osiemnaście dolarów — warknął niezadowolony, przeliczywszy pośpiesznie pieniądze. - To wszystko?

- Dostaję pensję dopiero pojutrze - usprawiedliwiła się Cal-

ly. - Proszę, weź, co mam, i odejdz. Błagam, zostaw mnie w spokoju. Mam jeszcze pół baku benzyny, kalkulował Jimmy. Pieniądze starczą na dolanie do pełna i na opłaty na autostradzie. Powinienem dojechać do Kanady.

Nagle usłyszał jakiś podejrzany szmer, dochodzący z za drzwi wyjściowych i gwałtownie się odwrócił. Wyrzwał przez wizjer, ale nie dostrzegł niczego podejrzanego. Dając Cally ostrzegawcze znaki, aby nie próbowała wołać pomocy, nacisnął bezszelestnie klamkę i uchylił drzwi na tyle, aby zobaczyć małego chłopca, który właśnie od nich odchodził, zmiierzając na palcach w stronę schodów.

Jimmy błyskawicznie wypadł na korytarz i podbiegł do chłopca; chwycił go jedną ręką w pól i uniósł w górę, drugą jednocześnie zatkał mu usta. Brutalnie wepchnął go do mieszkania Cally.

- Szpiegowałeś nas, mały? Kto to jest, Cally?

- Jimmy, zostaw tego dzieciaka. Nie mam pojęcia, kim jest -zawołała. - Pierwszy raz widzę go na oczy.

Brian był tak przerażony, że nie mógł wykrztusić słowa. Zauważył jednak, że mężczyzna, który go tu wciągnął, był wściekły na tę kobietę. Kto wie, czy nie pomoże mi odzyskać portfela mamy, pomyślał. Wskazał palcem na Cally.

- Ona ma portfel mojej mamy. Jimmy puścił Briana.

- To fantastyczna wiadomość - powiedział, uśmiechając się od ucha do ucha i patrząc na siostrę. - Czy to prawda?



Policjant zawiózł Catherine samochodem na cywilnych numerach do szpitala

- Poczekam tutaj, proszę pani. Mam włączone radio, więc jeżeli tylko Brian się znajdzie, będziemy natychmiast o tym wiedzieć.

Catherine pokiwała głową. Jeżeli Brian się znajdzie, powtarzała w myślach. Lęk o syna dławił ją za gardło tak silnie, że nie była w stanie wypowiedzieć słowa.

Pośrodku szpitalnego holu stała duża choinka, na ścianach wisiały girlandy z zielonych gałęzi, a tuż obok stanowiska recepcji czerwieniły się bukiety poinsecji.

Catherine poprosiła o przepustkę i dowiedziała się, że Tom leży w pokoju numer 530. Skierowała się w stronę wind i weszła do kabiny, w której znajdowało się już kilkoro pasażerów - lekarze w białych kitlach z wystającymi z kieszeni na piersiach elektronicznymi urządzeniami do komunikacji wewnętrznej, ludzie z obsługi w zielonych, lśniących czystością kombinezonach i kilka pielęgniarek.

Dwa tygodnie temu - Catherine zatopiła się we wspomnieniach - Tom miał dyżur w szpitalu St. Mary w Omaha, a ja robiłam świąteczne zakupy. Wieczorem poszliśmy z dziećmi na hamburgery. Życie toczyło się normalnie, przyjemnie i wesoło, żartowaliśmy sobie wspominając, jak to rok wcześniej Tom miał kłopoty, mocując choinkę na stojaku, a ja obiecałam mu, że

przed nadchodzącą Wigilią na pewno kupię nowy. Pamiętam też, że Tom wyglądał na bardzo zmęczonego, a ja i wtedy niczego jeszcze nie zauważyłam. Trzy dni później zasnął.

- To pani nacisnęła piąte piętro? - zapytał ktoś w windzie.

- O tak, dziękuję - ocknęła się Gatherine.

Wyszła na korytarz i przez chwilę stała w miejscu, starając się zorientować, w którą stronę iść. W końcu znalazła to, czego szukała - strzałkę na ścianie, wskazującą kierunek do pokoi

0 numeracji od 515 do 530.

Zbliżając się do pomieszczenia pielęgniarek, zobaczyła stojącego przy punkcie informacyjnym Spence'a Crowleya. Nagle poczuła suchość w ustach. Bezpośrednio po porannej operacji zapewnił ją, że wszystko poszło dobrze i że po południu na oddziale, gdzie leży Tom, będzie miał dyżur jego asystent. A więc co tu robi? Może coś się stało?

Lekarz również ją zauważył i uśmiechnął się. Boże, przecież nie śmiałby się, gdyby Tom... Nie była w stanie nawet dokończyć tej myśli.

Crowley podszedł do niej.

- Moja droga, gdybyś mogła zobaczyć wyraz swojej twarzy! Tom ma się dobrze. Jest oczywiście bardzo osłabiony, ale jego życiu nic już nie grozi. Catherine patrzyła na niego, z całej siły pragnąc uwierzyć w to, co mówił, zaufać szczeremu spojrzeniu piwnych oczu, spoglądających na nią zza szkieł okularów.

Wyczuwając jej niepokój, lekarz chwycił kobietę za ramię

1 wprowadził do niewielkiego pomieszczenia za pokojem pielęgniarek.

- Catherine, nie chcę cię na siłę do niczego przekonywać, ale musisz zrozumieć, że Tom ma naprawdę dużą szansę, aby z tego wyjść. Bardzo dużą szansę. Mam pacjentów, którym leukemia nie przeszkadza prowadzić normalnego, satysfakcjonującego ich życia. Są lekarstwa, które to umożliwiają. Myślę, że w przypadku Toma najlepszy będzie interferon. U kilku moich

pacjentów działał dosłownie cuda. Na początku będzie musiał przyjmować go codziennie w postaci zastrzyków, ale jak ustalimy właściwą dawkę, będzie mógł go sobie sam aplikować. Gdy tylko odzyska siły po operacji, nie widzę przeszkód, aby wrócił do pracy i przysięgam ci, że tak się stanie. - Przerwał na chwilę, a potem dodał cicho. - Ale jest jeden problem. Spojrzał na Catherine surowo. - Gdy dzisiejszego popołudnia odwiedzałaś Toma na oddziale intensywnej opieki, widziałem, że byłaś załamana.

- To prawda - przyznała.

Za wszelką cenę starała się wtedy powstrzymać łzy, ale nie dała rady. Tak bardzo się martwiła o męża i gdy okazało się, że szczęśliwie przeszedł operację, musiała dać upust swojemu wzruszeniu.

- Catherine, Tom prosił mnie, abym był z nim absolutnie szczery. Gdy jednak widzi cię w takim stanie, może sobie pomyśleć, że przygotowałem cię już na najgorsze. Straci do mnie zaufanie. Widzę, że zaczyna się zastanawiać, czy czegoś przed nim nie ukrywam, czy tak naprawdę jego stan nie jest gorszy, niż mówię. A przecież, Catherine, tak nie jest i twoja rola polega na umacnianiu go w tej wierze. Powinnaś mu pokazać, że ty również nie wątpisz w wasze długie, wspólne życie. Nie wolno dopuścić, aby sobie wmówił, że zostało mu już niewiele czasu. I to nie tylko dlatego, że taka świadomość działałaby na niego destrukcyjnie, ale przede wszystkim nie sędzę, aby to była prawda. Jednak, aby wyzdrowieć, Tom potrzebuje wiary, że jest to możliwe i ty musisz mu pomóc.

- Spence, powinnam była zorientować się już dawno, że on źle się czuje. Doktor objął Catherine i przycisnął mocno do siebie.

- Posłuchaj - powiedział - jest taka stara sentencja, która mówi: „Lekarzu, ulecz samego siebie”. Gdy tylko Tom poczuje się lepiej, mam zamiar zmyć mu głowę, że zignorował sygnały, jakie dawało mu jego ciało. Ale teraz idź, proszę, do niego z podniesioną głową i uśmiechniętą twarzą. Na pewno ci się to uda.

Catherine zmusiła się do uśmiechu.

- Może być?

- Dużo lepiej. Po prostu uśmiechaj się. Pamiętaj, że są święta. Miałaś przyprowadzić ze sobą chłopców, gdzie oni są?

Catherine nie czuła się na siłach, aby mu powiedzieć, że Brian zaginął. Jeszcze nie teraz. Zamiast tego postanowiła wypróbować, jak zadziała wersja, którą chciała przedstawić Tomowi.

- Brian ma katar i nie chciałam, aby bardziej się przeziębził.

- Bardzo rozsądnie. Dobrze. Do zobaczenia jutro. Pamiętaj tylko, żeby się uśmiechać. Wyglądasz wtedy wspaniale.

Kiwnęła głową, że będzie o tym pamiętać i poszła do pokoju 530.

Cichutko otworzyła drzwi. Tom spał. Do jego ramienia podłączona była kroplówka, z której powoli sączył się jakiś płyn. Z dziurek w nosie wystawały rurki doprowadzające tlen. Catherine zdumiała się, że jego skóra jest tak biała. Zamknięte usta miały kolor popiołu.

Wynajęta do opieki pielęgniarka wstała na jej widok.

- Pytał o panią. Poczekam na zewnątrz.

Catherine przysunęła krzesło bliżej łóżka. Usiadła i ujęła w ręce dłonie męża. Gładząc ją delikatnie przyglądała się twarzy leżącego: wysokie czoło okolone rudawymi włosami, dokładnie takiego samego koloru, jakie ma Brian; grube brwi, które zawsze sprawiały wrażenie niesfornych i nieuczesanych; kształtny nos i usta, zwykle rozchylone w uśmiechu. Pomyślała o jego oczach, bardziej błękitnych niż szarych, ciepłych i pełnych zrozumienia. Och, Tom, jakże chciałabym ci powiedzieć, że nasz synek zaginął. Chciałabym, żebyś wyzdrowiał i był ze mną, opiekował się naszymi dziećmi.

Tom Dornan otworzył oczy.

- Cześć, kochanie - powiedział słabym głosem.

- Cześć.

Catherina pochyliła się i ucałowała męża.

- Przykro mi, że dziś po południu okazałam się taką beksą. Możesz to nazwać syndromem pooperacyjnym lub po prostu

staroświeckim zachowaniem, które przynosi ulgę. Wiesz dobrze, jaka jestem sentymentalna. Płacę nawet na tych filmach, które kończą się szczęśliwie.

Wyprostowała się i spojrzała mu prosto w oczy.

- Operacja udała się wspaniale. Jesteś w świetnej formie, wiesz o tym? Widziała, że patrzy na nią z niedowierzaniem. Jeszcze mi nie wierzy, pomyślała zdeterminowana, jeszcze nie teraz.

- Myślałem, że przyjdiesz z chłopcami - powiedział cicho, robiąc przerwę po każdym słowie.

Catherine uświadomiła sobie nagle, że nie jest w stanie bez płaczu wymówić przy Tomie imienia Briana. Powiedziała więc pośpiesznie:

- Obawiałam się, że będą ci przeszkadzać. Wydawało mi się, że lepiej poczekać z wizytą do jutra rana.

- Telefonowała twoja matka - mówił dalej Tom sennym głosem. - Rozmawiała z nią pielęgniarka. Powiedziała, że przysyła mi przez ciebie specjalny prezent. Co to jest?

- Nie mogę ci tego zdradzić bez chłopców. Chcą ci go wręczyć sami.

-Dobrze... Ale jutro przyprowadź ich na pewno... Chcę ich zobaczyć...

-Oczywiście. Ale teraz, skoro jesteśmy tu tylko we dwoje, może powinnam wślizgnąć się do twojego łóżka - zażartowała.

Tom z trudem otworzył oczy.

- Powiedz coś, kochanie - poprosiła.

Na jego twarzy na chwilę pojawił się uśmiech, ale zaraz zgasł. Tom zasnął.

Na moment przytuliła głowę do jego poduszki, ale wstała szybko, gdy do pokoju na palcach weszła pielęgniarka.

- Czyż on naprawdę nie wygląda wspaniale? - zapytała Catherine, gdy dziewczyna sprawdzała choremu puls.

Pomyślała, że nawet zapadając w sen Tom mógł jeszcze słyszeć, co mówiła. Spojrzawszy po raz ostatni na męża, wyszła

z pokoju. Wróciła tą samą drogą do windy, a następnie przeszła przez hol i wsiadła do czekającego na nią policyjnego samochodu.

Siedzący za kierownicą mężczyzna odpowiedział na pytanie, zanim zdążyła mu je zadać:

— Na razie nic jeszcze nie wiadomo, proszę pani.

5

Powiedziałem, daj mi to - wycedził przez zęby Jimmy Siddons.

Cally próbowała jeszcze wszystkiemu zaprzeczać.

- Jimmy, ale ja nie mam pojęcia, o czym mówi ten chłopiec.

- Dobrze pani wie, o czym mówię - oburzył się Brian. - Sam widziałem, jak podnosiła pani z ziemi portfel mojej mamy. Śledziłem panią, bo chcę go odebrać.

- Czyż to nie mądrała, ten mały? - zauważył zgryźliwie Jimmy. - Idzie za szmałem jak po sznurku. - Odwrócił się nagle do siostry i spojrzał na nią groźnie. - Nie zmuszaj mnie, abym ci to odebrał siłą, Cally.

Dłużej już nie było sensu udawać, że nie wie, o co chodzi. Jimmy nie miał wątpliwości, że chłopak mówił prawdę. Cally, która wciąż miała na sobie palto, sięgnęła do kieszeni i wyjęła wytworny portfel z marokańskiej skóry.

- To należy do mojej mamy - powiedział Brian stanowczym głosem. W tej samej chwili mężczyzna spojrzał na niego takim wzrokiem, że chłopiec wzdrygnął się, ogarnięty nagłym lękiem. Zamiast schwycić portfel, co zamierzał zrobić jeszcze przed paroma sekundami, schował ręce głęboko do kieszeni.

Jimmy otworzył przegródkę z banknotami.

- No, no - zamruczał z satysfakcją. - Cally, naprawdę jestem zaskoczony. Nie jesteś wcale gorsza od znanych mi kieszonkowców.

- Nie ukradłam tego — zaproponowała gwałtownie dziewczyna. - Ktoś go upuścił, a ja znalazłam. Miałam zamiar odesłać portfel pocztą.

- Dobry pomysł, ale możesz już o nim zapomnieć - powiedział Jimmy. - Rekwiruję go, bo jestem w potrzebie.

Wyciągnął ze środka gruby plik banknotów i zaczął liczyć.

- Sześćset osiemdziesiąt osiem dolców. Całkiem nieźle, słowo daję. Tyle mi wystarczy.

Wepchnął pieniądze do kieszeni zamszowej marynarki i zaczął przeglądać pozostałe przegródki portfela.

- Karty kredytowe. Właściwie, czemu nie? Prawa jazdy -nie. Należą do Catherine Dornan i doktora Thomasa Dornan. Kto to jest doktor Thomas Dornan, mały?

- To mój tata. Jest teraz w szpitalu.

Brian z napięciem czekał, aż przyjdzie kolej na medalion. Wreszcie Jimmy go wyciągnął, podniósł w górę za łańcuszek i roześmiał się z niedowierzaniem.

- Święty Krzysztof! Od lat nie byłem w kościele, ale nawet ja wiem, że już dawno wywalili go z grona świętych. I pomyśleć o tych wszystkich opowieściach, jakie słyszeliśmy od babci o tym, jak przenosił na swoich barkach dzieciątka Jezus przez strumień, a może rzekę, czy co to tam było! Pamiętasz Cally?

Rzucił medalion na podłogę. Brian pochylił się szybko i podniósł drogi mu przedmiot. Chwilę ścisnął go w dłoni, a potem zawiesił na szyi.

- Dziadek miał go przy sobie przez całą wojnę i szczęśliwie wrócił do domu - oznajmił. - Chcę, aby mój tata wyzdrowiał. Portfel mnie nie interesuje, możecie go zatrzymać. Potrzebny mi jest tylko ten medalion. Muszę już wracać do domu.

Odwrócił się i pobiegł w stronę drzwi. Złapał za klamkę i otworzył je, ale w tym momencie dopadł go Jimmy, zatkał dłonią usta i wciągnął z powrotem do mieszkania.

- Ty i święty Krzysztof zostanieie tu ze mną, kolego - powiedział i pchnął Briana brutalnie na podłogę.



Chłopiec uderzył czołem o spękane linoleum i przez moment nie mógł złapać powietrza. Wreszcie z trudem usiadł i zaczął niezgrabnie rozcierać sobie głowę. Chociaż czuł, że pokój wiruje wokół niego, usłyszał wyraźnie słowa kobiety:

-Jimmy, nie rób mu krzywdy. Zostaw nas. Weź pieniądze i idź sobie. Odejdź stąd.

Brian objął ramionami kolana, z całej siły walcząc ze sobą, aby się nie rozpłakać. Nie powinien iść za tą kobietą. Trzeba było wezwać pomoc, może ktoś by ją zatrzymał. Ten mężczyzna jest zły. Nie pozwoli mu wrócić do domu. Nikt nie wie, gdzie go szukać. Nikt nie wie, gdzie jest. Czuł na swojej piersi medalion i instynktownie zacisnął na nim palce. Spraw, proszę, abym wrócił do mamy, modlił się w myślach, i żebym mógł podarować cię tatusiowi.

Brian nie widział, że Jimmy bacznie go obserwuje. Nie wiedział też, że cały czas intensywnie zastanawia się nad sytuacją. Ten dzieciak śledził Cally od momentu, gdy znalazła portfel, wnioskował Jimmy. Czy ktoś za nim szedł? Nie. Gdyby tak było, już by go mieli na karku.

- Gdzie znalazłaś ten portfel? - zapytał siostrę.

- Na Piątej Alei. Na wprost Rockefeller Center. - Cally była już nie na żarty przerażona. Wiedziała, że Jimmy nie zawaha się przed niczym, aby przeprowadzić do końca swój zamiar. Z pewnością jest w stanie ją zabić. A także, jeżeli zmuszą go okoliczności, tego chłopca. - Jego matka musiała to zgubić. Podniosłam portfel z chodnika. Myślę, że on to widział.

- Ja też tak myślę.

Jimmy spojrział na telefon stojący na stole obok kanapy. Po chwili, uśmiechając się przebiegle, wyjął z kieszeni telefon komórkowy, który znalazł w skrytce na rękawiczki w skradzionym samochodzie. Wyciągnął też pistolet i skierował go w stronę Cally.

- Gliny mogły założyć w twoim telefonie podsłuch - powiedział, wskazując ręką na aparat przy kanapie. - Podejdź tam. Zadzwoń do ciebie z komórki i powiem, że postanowi-

łem oddać się w ręce policji. Poproszę, żebyś skontaktowała się z obrońcą z urzędu, który mnie reprezentuje. Jedyne, co musisz zrobić, to być miła i zdenerwowana, dokładnie jak teraz. Ale ostrzegam cię, żadnych sztuczek, bo zabiję cię i dzieciaka.

Spojrzał na podłogę, gdzie siedział Brian.

- Spróbuj tylko pisać, to...

Brian pokiwał głową, że rozumie. Był zbyt przerażony, aby się odezwać.

- Cally, słyszałaś, co mówiłem?

Potwierdziła ruchem głowy. Jaka byłam głupia, pomyślała. Jak mogłam sądzić, że się przed nim ukryję. To niemożliwe. Zna nawet mój telefon.

Jimmy wykręcił numer i aparat na stole zadzwonił.

- Halo - odezwała się do słuchawki Cally. Głos miała cichy i stłumiony.

- Cally, mówi Jimmy. Posłuchaj, mam kłopoty. Już pewnie o tym wiesz.

Żałuję, że uciekłem. Mam nadzieję, że strażnik wyjdzie z tego. Jestem

załamany i boję się. - Głos Jimmy'ego brzmiał żałośnie, niemal

placzkliwie. - Zadzwoń do Gila Weinsteina. To mój obrońca. Powiedz, że chcę się z nim spotkać w katedrze Świętego Patryka po zakończeniu pasterki. Powiedz, że postanowiłem oddać się w ręce policji i chcę, aby był ze mną w tym momencie. Jego numer: pięć, pięć, pięć, zero, dwieście sześćdziesiąt siedem. Cally, jest mi naprawdę przykro, że narobiłem tyle kłopotów.

Jimmy zakończył rozmowę i wyłączył się.

- Wiesz, że gliny nie są w stanie wytrócić telefonu komórkowego? No dobrze, dzwoń teraz do Weinsteina i powiedz mu to, co przed chwilą usłyszałaś. Jeśli cię podsłuchują, to chyba skaczą teraz z nerwów w górę i w dół.

- Słuchaj, oni pomyślą sobie, że ja...

Jimmy błyskawicznie znalazł się przy Cally i przystawił jej lufę pistoletu go skroni.

- Dzwoń natychmiast.

- Twojego prawnika może nie być w domu. Albo może nie będzie się chciał z tobą spotkać.

- Nic podobnego. Znam go. To palant. Będzie mu zależało na popularności. Dzwon.

Cally posłusznie wykręciła numer. Gil Weinstein odezwał się natychmiast, pośpieszyła więc z wyjaśnieniami:

- Pan mnie nie zna. Nazywam się Cally Hunter. Przed chwilą dzwonił do mnie mój brat, Jimmy Siddons. Prosił, abym panu powiedziała... -

Drżącym głosem powtórzyła wersję, jaką podał jej Jimmy.

- Dobrze, spotkam się z nim - powiedział prawnik. - Cieszę się, że powziął taką decyzję, ale jeżeli strażnik umrze, Jim-my'ego czeka proces z oskarżenia o morderstwo. Za pierwszym razem udało mu się uniknąć kary śmierci za zabójstwo, ale teraz... -Adwokat zawiesił głos.

- Myślę, że mój brat zdaje sobie z tego sprawę - powiedziała Cally, patrząc na Jimmy'ego. - Muszę już kończyć. Do widzenia.

-Świetna robota, siostrzyczko - pogratulował jej. Potem spojrzał na Briana. - Jak masz na imię, mały?

- Brian...

- Idziemy, Brian. Na nas już pora.

- Jimmy, daj mu spokój. Niech zostanie ze mną.

- Wykluczone. Nie mam żadnej gwarancji, że nie pójdziesz do gliniarzy, nawet wiedząc, że po rozmowie z chłopakiem gliny mogą cię znowu wsadzić do pierdła. Przecież ukradłaś portfel jego matki. Nie, dzieciak idzie ze mną. Nikt nie będzie szukał mężczyzny z chłopcem, prawda? Puszczę go jutro rano, gdy dotrę tam, gdzie zamierzam. A wtedy możesz im powiedzieć o mnie, co tylko chcesz. Ten mały może się nawet za tobą wstawić, prawda synku?

Brian cofnął się w stronę Cally. Bardzo bał się mężczyzny z pistoletem. Czy ten człowiek naprawdę chce go gdzieś zabrać? Cally próbowała ukryć Briana za sobą.

- Jimmy, proszę, zostaw tu tego chłopca.

Na twarzy Jimmy'ego pojawił się grymas gniewu. Schwycił siostrę za ramię i szarnął, boleśnie wykręcając jej przy tym rękę. Cally krzyknęła, gdy straciła kontakt z chłopcem, zachwiała się i upadła na podłogę.

Jimmy stał nad siostrą, mierząc z pistoletu w jej głowę i patrzył na nią wzrokiem, w którym nie było śladu braterskiego uczucia.

-Jeśli nie będziesz robić dokładnie tego, co ci każę, będę cię tak traktował... Albo jeszcze gorzej. Nie wezmą mnie żywcem. Ani ty, ani nikt inny nie zdoła mnie posłać do celi śmierci. A poza tym mam dziewczynę, która na mnie czeka. Trzymaj więc gębę na kłódkę. Możemy nawet zawrzeć umowę. Jeżeli nikomu się nie wygadasz, małemu nic się nie stanie. Ale gdy się zorientuję, że gliny mnie śledzą, strzelę mu w łeb. Moja propozycja jest bardzo prosta. Tylko rób to, co mówię.

Wsadził pistolet do kieszeni marynarki, a potem schwycił Briana za ramię.

- Będziemy teraz prawdziwymi kumplami, synku - powiedział. -

Prawdziwymi kumplami.

Uśmiechnął się złowrogo.

- Wesołych świąt, Cally.

Niedaleko budynku, w którym mieszkała Cally, po przeciwnej stronie ulicy stała zaparkowana nie oznakowana furgonetka. Policjanci zorganizowali w niej punkt obserwacyjny, czekając na pojawienie się w okolicy Jimmy'ego Siddonsa. Zwrócili uwagę na fakt, że Cally wróciła do domu nieco później niż zwykle.

Jack Shore, ten sam detektyw, który odwiedził Cally rano w mieszkaniu, zdjął z uszu słuchawki, po czym zaklął cicho i odwrócił się do kolegi.

-Co o tym sądzisz, Mort? Albo nie, poczekaj, najpierw ja powiem, co myślę. To sprytna sztuczka. Chce zyskać na czasie, aby odjechać tak daleko, jak to tylko możliwe, dokładnie wtedy, gdy my będziemy przygotowywać na niego obławę w katedrze Świętego Patryka.

Mort Levy, młodszy od Shore'a o dwadzieścia lat i mniej cyniczny, pocierał w zamyśleniu podbródek, co było u niego oznaką intensywnego myślenia.

- Jeżeli to rzeczywiście jakaś sztuczka, to moim zdaniem jego siostra nie bierze w tym udziału z własnej woli. Gdy rozmawiała z adwokatem, jej głos drżał ze strachu.

- Posłuchaj Mort, byłeś na pogrzebie Billa Grasso. Miał tylko trzydzieści lat, zostawił czwórkę małych dzieci. Ten bandyta Siddons kropnął go prosto między oczy. Gdyby Cally Hunter była wtedy wobec nas uczciwa i powiedziała, że dała temu

szczurowi, swojemu bratu, pieniądze i kluczyki od samochodu, Grasso wiedziałby, czego może się spodziewać, gdy zatrzymał Siddonsa za przejechanie czerwonych świateł.

- Ja uważam, że Cally naprawdę uwierzyła Jimmy'emu, kiedy powiedział jej, że musi uciekać z miasta, bo jest uwikłany w wojnę gangów i grozi mu niebezpieczeństwo. Nie wydaje mi się, aby wiedziała, że zranił sprzedawcę w sklepie z alkoholami. Wcześniej nie miał poważnych konfliktów z prawem.

-Chcesz chyba powiedzieć, że przedtem udawało mu się wychodzić cało, jeśli coś przeszkobał - powiedział sucho Shore. — Bardzo źle się stało, że sędzia nie zakwalifikował czynu Cally jako współudziału w morderstwie i skazał ją tylko za pomoc bratu w ucieczce. Wyszła na wolność już po piętnastu miesiącach. A wdowa po Billu Grasso będzie dzisiaj ubierać choinkę bez niego.

Jego twarz była czerwona z gniewu.

- Zadzwoń do szefa. Na wypadek, gdyby ten wszarz mówił prawdę, trzeba będzie obstawić katedrę. Jak myślisz, ilu ludzi przyjdzie tam dziś na pasterkę? Możesz zgadywać trzy razy.

Cally usiadła ciężko na zniszczonej welurowej kanapie. Ręce splotła wokół kolan, zwiesiła głowę i zamknęła oczy. Nie była w stanie płakać, nie czuła zmęczenia. Dobry Boże, dobry Boże, czemu musiało się tak stać?

Co robić?

Gdyby stało się coś złego Brianowi, ona będzie za to odpowiedzialna. Wzięła portfel jego matki, a chłopiec przyszedł aż tutaj, aby go odzyskać. Jeżeli mówił prawdę, jego ojciec był bardzo chory. Cally pomyślała o nieznanym, młodej kobiecie w pąsowym płaszczu, która wywarła na niej wrażenie kogoś, komu życie układa się po różach.

Czy Jimmy wypuści chłopca, gdy dotrze już tam, dokąd zmierza? Czy to jest możliwe? ifiobiekolwiek zamierzał się ukryć, policja zacznie go szukać w okolicy, gdzie znajdą Briana.

A poza tym, jeśli go wypuści, chłopak zezna na policji, że śledził mnie, bo widział, jak wzięłam portfel.

I jeszcze jedno. Jimmy wyraźnie ostrzegł, że zastrzeli Briana, gdy zauważy jadącą za nim policję. I naprawdę jest do tego zdolny. Jeżeli więc powiem choć słowo glinom, Brian nie ma najmniejszej szansy, pomyślała. A jeśli nikomu nic nie powiem, a Jimmy wypuści małego, mogę uczciwie zeznać, że bałam się powiadomić policję, bo brat zagroził, że gdy rozpoczną pościg, zabije swojego zakładnika. On byłby do tego zdolny i co gorsza, cały czas jest do tego zdolny. I to jest najgorsze.

Przypomniała sobie zapłakaną twarz Briana. Rudawe włosy, które zasłaniały mu czoło, duże, inteligentne, niebieskie oczy i usiane piegami policzki i nos. Gdy Jimmy wciągnął go do mieszkania, wydawało jej się, że chłopiec ma nie więcej niż pięć lat. Słuchając go potem wywnioskowała, że musi być starszy. Był taki przerażony, gdy Jimmy zmusił go, aby wyszedł z nim przez okno i przeszedł drogą przeciwpożarową na sąsiedni budynek. Patrzył na nią błagalnie tymi swoimi oczyskami.

Nagle zadzwonił telefon. W słuchawce rozległ się głos Aiki, która każdego dnia odbierała Gigi z przedszkola i opiekowała się nią i swoimi wnuczętami.

- Chciałam tylko sprawdzić, czy jesteś już w domu, Cally -powiedziała dźwięcznym i przyjaznym głosem. - Znalazłaś tego sprzedawcę lalek?

- Niestety, nie.

- Szkoda. Chcesz się jeszcze przejść po sklepach?

- Nie. Zaraz przyjdę po Gigi.

- Nie musisz. Właśnie zjadła kolację razem z moimi rozrabiakami, a ja chcę kupić mleko na śniadanie, więc i tak muszę wyjść. Podrzucę Gigi za pół godzinki albo coś koło tego.

- Dziękuję, Aika.

Cally odłożyła słuchawkę i dopiero wtedy zdała sobie sprawę, że wciąż ma na sobie palto, a w mieszkaniu nie pali się żadne światło poza małą lampką w przedpokoju. Rozebrała się, weszła do sypialni i otworzyła drzwi do garderoby. Westchnęła

widząc, że Jimmy pozostawił na podłodze swoje ubranie; marynarkę, spodnie i brudny płaszcz przeciwdeszczowy.

Schyliła się i wzięła do ręki marynarkę. Detektyw Shore powiedział jej, że Jimmy strzelił do strażnika i zabrał mu mundur. Bez wątplenia trzymała w ręku jego górną część - w marynarce ziały dziury po kulach. Zdenerwowana Cally zawinęła mundur w płaszcz od deszczu. Co będzie, gdy pojawi się policja z nakazem rewizji? Nigdy jej nie uwierzą, że Jimmy włamał się do mieszkania. Pomyślała, że dała mu stare ubranie Franka. Znowu może znaleźć się w więzieniu. I wtedy na dobre już straci Gigi. Co robić?

Rozejrzała się dookoła, gorączkowo zastanawiając się, gdzie ukryć ubranie. Może w pudle, które stoi na najwyższej półce? Trzyma w nim letnią garderobę swoją i Gigi. Z trudem ściągnęła je na dół, otworzyła i wyjęła odzież, którą ułożyła na niższej półce w szafie. Następnie wepchnęła do pudła mundur i płaszcz, zamknęła je i postawiła na podłodze. Sięgnęła pod łóżko, skąd wyciągnęła świąteczne opakowania, które ukryła tam przed Gigi.

Drżącymi rękami zawinęła pudło w błyszczący papier, a na wierzchu zawiązała wstążkę. Potem zaniósła je do drugiego pokoju i ustawiła pod choinką. Ledwie skończyła, rozległo się brzęczenie domofonu.

Przyglądając włosy i zmuszając się do powitalnego uśmiechu dla Gigi, podeszła do drzwi.

Stał za nimi detektyw Shore i ten drugi, który był już u niej rano.

- Znowu bawisz się z nami w kotka i myszkę, Cally? - zapytał Shore.



Jimmy Siddons jechał z dużą prędkością w kierunku East River Drive. Brian siedział skulony na fotelu pasażera; bał się, jak nigdy przedtem. Zdrętwiał ze strachu już gdy ten mężczyzna kazał mu się wspinać po schodkach przeciwpożarowych w górę, a następnie włókł z jednego dachu na drugi.

Kiedy w końcu zeszli na dół, mężczyzna wepchnął go do auta i przypiął pasami. „Tylko nie zapomnij mówić do mnie tatusiu, gdy ktoś nas zatrzyma” - ostrzegł go.

Brian wiedział, że ma na imię Jimmy. Tak zwracała się do niego tamta kobieta. Gdy Jimmy zmusił go, aby wyszedł za okno, zaczęła płakać; Brian wiedział, że bardzo się o niego martwi. Znała nazwisko jego rodziców. Może powiadomi policję? Jeżeli tak zrobi, to czy złączą go szukać? Przecież Jimmy powiedział, że zabije go, gdy zauważy, że jest śledzony. Czy naprawdę byłby do tego zdolny?

Skulił się jeszcze bardziej na siedzeniu. Był wystraszony i głodny. Chciał także skorzystać z toalety, ale bał się poprosić o postój. Jedynym pocieszeniem był dla niego fakt, że odzyskał medalion. Święty Krzysztof sprawił, że dziadek przeżył wojnę. Sprawi też, że tata wyzdrowieje. Teraz zaś na pewno pomoże mu bezpiecznie wrócić do domu.

Jimmy Siddons rzucił szybkie spojrzenie na swojego małego zakładnika. Po raz pierwszy od chwili, gdy uciekł z więzienia, czuł się trochę zrelaksowany. Padał drobny śnieg, ale jeżeli opa-

dy nie będą bardziej intensywne, nie ma się czym martwić. Cal-ly nie odważy się powiadomić policji. Nie miał co do tego wątpliwości. Nie mam zamiaru przez resztę życia gnić w więzieniu, pomyślał, ani też dać sobie wstrzyknąć dużą dawkę trucizny. Albo mi się uda, albo zobaczą, na co naprawdę mnie stać.

Ale na pewno mi się uda. Jimmy uśmiechnął się nieprzyjemnie. Zdawał sobie sprawę, że policja obserwuje wszystkie mosty i tunele wokół Nowego Jorku. Policjanci nie mają jednak pojęcia, dokąd jedzie, a już z całą pewnością nie będą zwracać uwagi na ojca i syna podróżujących samochodem.

Wyjął z bagażnika wszystkie prezenty, które schowali ci staruszkowie. Pudełka leżały teraz spiętrzone na tylnym siedzeniu, przypominając o nadchodzących świętach Bożego Narodzenia. Sterylna prezentów oraz dziecko na przednim siedzeniu gwarantowały Jimmy'emu, że nawet jeśli kontrolerzy pobierający opłaty na autostradach będą szukać uciekiniera z więzienia, żadnemu z nich nie przyjdzie do głowy, że to on.

Za osiem lub dziewięć godzin przekroczy granicę i znajdzie się w Kanadzie, gdzie czeka Paige. A później znajdzie jakieś ładne, głębokie jezioro, które będzie miejscem przeznaczenia samochodu i wszystkich tych pięknie zapakowanych prezentów.

Podobnie jak tego gówniarza z medalionem świętego Krzysztofa. Departament Policji Miasta Nowy Jork zaangażowany był niemal całkowicie w przygotowywanie obławy, która gwarantowałaby, że Jimmy Siddons się nie wymknie, gdyby w ostatniej chwili wpadł w panikę i zrezygnował z oddania się w ręce policji.

Natychmiast po tym, jak podsłuchano rozmowy Jimmy'ego z Cally i jej z prawnikiem brata, Jack Shore przekazał informację swoim zwierzchnikom, nie tając przy tym, co myśli o decyzji Siddonsa o oddaniu się w ręce policji.

- To kompletna bzdura - przekonywał. - Będziemy tam siedzieć do wpuł do pierwszej albo nawet drugiej w nocy, a on w tym czasie przejedzie połowę drogi do Kanady lub Meksyku i dopiero potem poczujemy się jak gromada durniów

W końcu zastępca komisarza dał za wygraną.

- W porządku, Jack. Wiemy, o czym myślisz. Sprawdźmy to. Jimmy nie pojawił się jeszcze w okolicy mieszkania swojej siostry, prawda?

- Tak, szefie, ale upewnimy się jeszcze raz - powiedział Jack Shore i wyłączył się.

Obaj z Mortem natychmiast pojechali do Cally. Po powrocie do furgonetki Shore ponownie połączył się z szefem.

- Przed chwilą sprawdziliśmy Cally Hunter. Ta kobieta ma pełną świadomość, co jej grozi, gdyby w jakikolwiek sposób pomogła bratu. Gdy wychodziliśmy, opiekunka przyprowadziła jej córeczkę; mam wrażenie, że Cally nie zamierza tej nocy opuszczać domu.

Mort Levy słuchał tego raportu ze zmarszczonymi brwiami. Miał wrażenie, że mieszkanie tej kobiety wyglądało jakoś inaczej niż rano, ale nie mógł sobie uzmysłwić, na czym polegała zmiana. W myślach odtwarzał układ wnętrza: mały przedpokój, tuż obok łazienka, wąskie pomieszczenie pełniące funkcje saloniku i kuchni, ciasna sypialnia z trudem mieszcząca łóżko, dziecinne łóżeczko i komodę z trzema szufladami.

Zajrzeli do łazienki, pod łóżko, rozejrzeli się w garderobie. Levy z pewnym rozczeniem zauważył, że kobieta bardzo się starała, aby to nieprzytulne mieszkanie uczynić nieco miłszym. Ściany pomalowane zostały na jasnożółty kolor. Na starej kanapie leżały poduszki w kwiatowe wzory. Na pięknie ubranej choince wisiało wiele świecidełek, między gałkami pobłyskiwały czerwone i zielone lampki. Pod drzewkiem leżało kilka prezentów opakowanych w błyszczący papier. Prezenty? Mort nie umiał sobie wytłumaczyć, czemu akurat to słowo wywołało niepokój w jego podświadomości. Pomyślał nad tym chwilę, ale w końcu dał za wygraną i potrząsnął głową.

Nie chciał, aby Jack groził tej biednej kobiecie, która wyglądała już i bez tego na nieźle wystraszoną. Mort nie znał szczegółów jej sprawy która toczyła się ponad dwa lata temu, ale na podstawie tego, co usłyszał, wyrobił sobie przekonanie, że Cal-ly naprawdę myślała, że jej młodszy brat jest zaplątany w wojnę gangów i grozi mu śmiertelne niebezpieczeństwo.

Tego dnia powinni skończyć służbę o ósmej wieczorem, ale obaj z Jackiem wrócili na posterunek. Razem z kilkudziesięcioma innymi policjantami będą pracować po godzinach, co najmniej do końca pasterki. Nie można wykluczyć, że Siddons rzeczywiście się tam pojawi. Levy domyślał się, że Shore'owi bardzo zależało, aby aresztować go osobiście. „Rozpoznam drania, nawet jeżeli przebierze się w mnisi habit”, powtarzał bez przerwy.

Przy tylnych drzwiach furgonetki rozległo się pukanie -znak, że przybyła zmiana. Mort po wyjściu z samochodu i rozprostowaniu kości poczuł się nagle zadowolony z tego, że tuż przed opuszczeniem mieszkania Cally Hunter wcisnął jej ukradkiem w rękę swoją wizytówkę, mówiąc przy tym cicho: „Jeżeli będzie pani chciała z kimś porozmawiać, proszę do mnie zatelefonować”.

Tłum na Piątej Alei przерzedził się nieco, ale przy choince przed Rockefeller Center wciąż było jeszcze wielu gapiów. Podobnie przy witrynach eleganckiego sklepu Saksa, gdzie nawet o tak późnej porze przechodnie ustawiali się w kolejce, aby obejrzyć świąteczne dekoracje. Strumień ludzi nieustannie wpływał i wypływał z katedry Świętego Patryka. Kiedy jednak samochód, którym jechała Catherine, parkował tuż za wozem policyjnym, gdzie czekali na nią posterunkowy Ortiz i Michael, tłum wyraźnie już się przerzedził.

Wszyscy śpieszą się do domów, pomyślała. Chcą pewnie zdążyć zapakować kupione w ostatniej chwili prezenty i obiecują sobie solennie, że w przyszłym roku na pewno już nie będą biegać po sklepach do późnych godzin wieczornych w Wigilię.

Wszystko na ostatnią minutę. Ona również jakieś dwanaście lat temu wyznawała podobną filozofię. Aż do dnia, gdy podszedł do jej biurka doktor Thomas Dornan, od trzech lat pracujący w szpitalu St. Vincent, i zapytał: „Jesteś tu nowa, prawda?”.

Tom, taki wyrozumiały i na pozór niefrasobliwy, był osobą bardzo dobrze zorganizowaną. Gdyby to ona była chora i została w szpitalu, nigdy nie wsadziłby wszystkich jej pieniędzy i dokumentów do swojego i tak już wypchanego portfela.

Catherine myślała o tym, biegnąc w zacinającym śniegu do zaparkowanego kilka metrów dalej wozu patrolowego. Brian nigdy by się sam od niej nie odłączył, tego była pewna. Widziała,

że nie mógł się już doczekać, aby odwiedzić ojca. Było to dla niego ważniejsze niż oglądanie choinki przed Rockefeller Center. Jeżeli odszedł, nie mówiąc jej dokąd idzie, musiał mieć jakiś bardzo ważny powód. To absolutnie pewne. Zakładając, że nikt go nie uprowadził — a to wydawało się jej raczej mało prawdopodobne - być może zauważył osobę, która ukradła portfel i poszedł jej śladem.

Michael siedział na przednim siedzeniu obok posterunkowego Ortiza, popijając wodę sodową. Na podłodze stała brązowa torba z resztkami jedzenia. Catherine wcisnęła się na fotel Michaela i pogładziła go po włosach.

- Jak tata? - zapytał z troską. - Nie powiedziałaś mu o zniknięciu Briana, prawda?

- Oczywiście, że nie. Jestem pewna, że niebawem się odnajdzie, więc nie chciałam taty martwić. Czuje się już naprawdę dobrze. Rozmawiałam z doktorem Crowleyem. Jest bardzo dobrej myśli. - Spojrzała ponad głową syna na posterunkowego Ortiza. - To już dwie godziny - powiedziała cicho.

Policjant pokiwał głową.

- Rysopis Briana podawany jest co godzinę wszystkim policjantom w okolicy. Proszę pani, rozmawiałem trochę z Michaeliem. On twierdzi, że brat sam nie oddaliłby się bez ważnego powodu.

- Tak, to prawda. Nie zrobiłby tego.

- Czy rozmawiała pani z przechodniami, gdy zorientowała się pani, że zniknął?

-Tak.

-I nikt nie zauważył, aby ktoś ciągnął lub popychał jakieś dziecko?

-Nie. Ludzie pamiętali go, jak stał w grupie słuchających kolędę, a potem nikt już go nie widział.

- Będę z panią szczery. Nie spotkałem się z przypadkiem zboczeńca, który usiłowałby porwać dziecko stojące tuż obok matki i ciągnął je przez tłum ludzi. Michael sądzi, że może Brian poszedł za kimś, kto wziął pani portfel.

- Myślałam o tym samym. To jedyne logiczne wytłumaczenie - zgodziła się Catherine.

- Michael powiedział mi też, że rok temu Brian stanął w obronie swojego kolegi z klasy którego zaczepiał dużo starszy chłopak.

- Mój syn jest bardzo odważny - powiedziała Catherine i w tym momencie dotarło do niej, co miał na myśli policjant. Podejrzewa, że jeżeli Brian poszedł za tą osobą, która wzięła mój portfel, może będzie chciał sam go odzyskać. Mój Boże, tylko nie to!

- Proszę pani, jeżeli nie ma pani nic przeciwko temu, moglibyśmy skorzystać z pomocy mediów. Myślę, że któraś z lokalnych stacji telewizyjnych zgodzi się na pokazanie zdjęcia Briana. Ma pani jakieś przy sobie?

- Miałam jedno w portfelu - stwierdziła Catherine bezbarwnym głosem. Myśl, że Brian może wpaść w łapy jakiegoś złodzieja, próbując odebrać mu portfel, przeraziła ją. - Mój mały synek - wyszeptała z lękiem. - Czy ktoś mógłby skrzywdzić mojego chłopczyka?

Jak przez mgłę dotarło do niej, że Michael mówi coś do posterunkowego Ortiza.

- Babcia ma sporo naszych zdjęć - informował rzeczowo policjanta. Po chwili spojrzął na matkę. - Tak czy inaczej, powinnaś do niej zatelefonować. Jeżeli nie wrócimy na czas do domu, zaczniesz się niepokoić.

Jaki ojciec, taki syn, przemknęło Catherine przez myśl. Brian jest bardzo podobny do Toma, a Michael myśli zupełnie jak on. Zamknęła oczy, ogarnięta nagłą paniką. Tom. Brian. Dlaczego?

W mieszkaniu na Osiedzi Siódmej Barbara Cavanaugh ścisnęła w rękę słuchawkę telefonu, nie mogąc uwierzyć w to, co mówiła jej córka. Brian zaginął i nikt go nie widział od ponad dwóch godzin.

- Gdzie jesteś, kochanie? — zapytała.

- Michael i ja siedzimy w wozie patrolowym na skrzyżowaniu Czterdziestej Dziewiątej i Piątej. Właśnie tu zatrzymaliśmy się z Brianem... I nagle już go koło mnie nie było.

- Zaraz tam będę.

- Mamo, nie zapomnij zabrać ze sobą aktualnych zdjęć Bria-na. Policja chce pokazać je w telewizji. Ja teraz jadę do radia, aby nadać krótki komunikat. I zadzwoń do pokoju pielęgniarek na piątym piętrze w szpitalu. Poproś je, aby sprawdziły, czy Tom na pewno nie ma żadnej możliwości włączenia w swoim pokoju telewizora. Wiem, że nie ma tam radia. Gdyby dowiedział się, że Brian zaginął...

- Oczywiście, natychmiast tam zatelefonuję, ale Catherine, ja nie mam żadnych aktualnych zdjęć Briana. Wszystkie, które robiliśmy latem, zostały w domu w Nantucket.

Musiała ugryźć się w język, aby nie wypomnieć córce, że już od dłuższego czasu prosiła ją o zdjęcia wnuków i do tej pory ich nie dostała. Nie dawniej jak wczoraj Catherine powiedziała jej, że śpiesząc się z pakowaniem rzeczy przy wyjeździe na operację Toma, zapomniała zabrać przygotowany dla niej



prezent gwiazdkowy: oprawione w ramki portrety obu chłopców.

- Przyniosę wszystko, co znajdę - powiedziała pośpiesznie. - Zaraz wychodzę.

Po rozmowie telefonicznej ze szpitalem Barbara przysiadła na chwilę w fotelu, opierając czoło na dłoni.

- To za wiele - westchnęła. - Naprawdę za wiele.

Czy zawsze musi mnie prześladować uczucie, że jeżeli coś mi się w życiu układa, to nie powinnam się cieszyć, bo to na pewno nie potrwa długo?

Ojciec Catherine zmarł, gdy dziewczynka miała zaledwie dziesięć lat i aż do momentu, gdy w wieku dwudziestu dwu lat spotkała Toma, Barbara ciągle widziała w jej oczach smutek. Byli taką szczęśliwą parą, tak dobrze do siebie pasowali. Zupełnie jak kiedyś ona i Gene, pomyślała Barbara.

Na moment wróciła wspomnieniami do roku 1943. Miała wówczas dziewiętnaście lat i studiowała na drugim roku w Col-Iege'u. Pewnego dnia przedstawiono jej przystojnego, młodego porucznika; nazywał się Eugene Cavanaugh. Od pierwszej chwili oboje wiedzieli, że są dla siebie stworzeni. Dwa miesiące później wzięli ślub, ale pierwsze dziecko urodziło się im dopiero po osiemnastu latach małżeństwa.

Moja córka też miała szczęście i Bóg obdarzył ją podobnym związkiem, pomyślała Barbara, ale teraz...

Starsza pani podskoczyła nagle w fotelu. Musi natychmiast iść do Catherine. Brian na pewno tylko zgubił drogę. Po prostu tłum ich rozdzielił, przekonywała się w myślach. Catherine jest silna, ale po tych kilku strasznych godzinach musi być bliska załamania nerwowego.

Barbara przebiegła przez mieszkanie, chwytając wszystkie oprawione fotografie stojące na półkach i stolikach. Przeprowadziła się tutaj dziesięć lat temu z Beekman Place. Mieszkanie było zdecydowanie za duże dla niej: z prawdziwą jadalnią, biblioteką i pokojami dla gości. Ożywało, gdy Tom, Catherine i chłopcy przyjeżdżali do niej z wizytą.

Włożyła wszystkie zdjęcia do eleganckiej skórzanej torby, prezentu urodzinowego od Toma i Catherine, już prawie w biegu wyciągnęła płaszcz z szafy i zamykając drzwi tylko na jeden zamek, zdążyła jeszcze nacisnąć guzik windy, która właśnie zjeżdżała z góry.

Windziarz Sam pracował w tym domu od dawna. Jednak gdy otworzył jej drzwi, zamiast codziennego uśmiechu, pojawił się na jego twarzy wyraz troski.

-Dobry wieczór, pani Cavanaugh. Wesółych świąt. Są jakieś wieści o zdrowiu doktora Dornana?

Bojąc się, że się rozplacze, Barbara pokręciła tylko przecząco głową.

- Pani wnuczęta to naprawdę mili chłopcy. Ten młodszy, Brian, powiedział mi, że dała pani jego mamie coś, co pomoże jego tatusiowi szybciej wyzdrowieć. Mam nadzieję, że tak się stanie.

\*\*\*

- Mamusiu, czemu jesteś smutna? - zapytała Gigi, siadając na kolanach Cally.

- Nie jestem smutna, córeczko - zaprzeczyła Cally. - Zawsze jestem szczęśliwa, gdy mogę być z tobą.

Gigi pokręciła z niedowierzaniem główką. Miała na sobie biało-czerwoną świąteczną piżamkę w aniołki trzymające płonące świece. Po ojcu odziedziczyła ogromne, brązowe oczy i falujące, ciemne włosy. Staje się coraz bardziej do niego podobna, pomyślała Cally, odruchowo mocniej przyciskając do siebie córeczkę.

Siedziały przytulone do siebie na kanapie na wprost choinki.

- Cieszę się, że jesteś ze mną, mamusiu - powiedziała Gigi, a w jej głosie słychać było lęk. - Nie opuścisz mnie już nigdy, prawda?

- Nigdy. Wcale nie chciałam cię wtedy zostawić, kochanie.

- Nie lubiłam odwiedzać cię w tamtym miejscu.

Tamto miejsce. To był zakład karny dla kobiet w Bedford.

- Ja też nie lubiłam tam być - powiedziała Cally, starając się, aby jej głos brzmiał rzeczowo.

- Dzieci powinny być razem z mamami.

- Tak. Ja też tak uważam.

- Mamusiu, czy ten duży prezent jest dla mnie? - Gigi pokazała paluszkami na pudło, w którym znajdował się mundur i płaszcz pozostawiony przez Jimmy'ego.

Cally oblizwała zeschłe wargi.

- Nie kochanie, to prezent dla Mikołaja. On także lubi otrzymywać upominki. A teraz chodźmy spać, już późno.

Gigi natychmiast zaczęła oponować, powtarzając jak zwykle: „Nie chcę, nie chcę...”, ale nagle się uspokoiła.

- Czy Boże Narodzenie będzie szybciej, jeżeli teraz położę się spać?

- Jasne. Chodź do mnie, wezmę cię na rączki.

Cally pieczołowicie otuliła córkę zniszczoną kołderką, dała jej buziaka na dobranoc, a potem wróciła do pokoju i ciężko usiadła na kanapie.

„Dzieci powinny być razem z mamami...” Słowa Gigi wciąż brzmiały jej w uszach. Dobry Boże, dokąd Jimmy zabrał tego chłopca? Co on z nim zrobi? Co ona powinna zrobić?

Cally wpatrywała się w pudło owinięte kolorowym papierem. „To dla Mikołaja”. Nie mogła zapomnieć, co znajduje się w środku. Mundur strażnika, do którego strzelał Jimmy, wciąż lepki od krwi, zniszczony płaszcz przeciwdeszczowy, Bóg wie gdzie znaleziony lub komu ukradzony.

Jimmy jest zły. Nie ma sumienia ani nie odczuwa żalu. Musisz sobie to jasno powiedzieć, przekonywała samą siebie Cally. Nie będzie się zastanawiał ani chwili, jeżeli uzna, że zabicie chłopca pomoże mu w ucieczce.

Włączyła radio, aby wysłuchać wiadomości. Była dziewiętnasta trzydzieści. Spiker informował, że stan zdrowia postrzelonego strażnika z Riker Island jest wciąż krytyczny, ale stabilny. Lekarze ostrożnie wypowiadali się, że ma pewne szanse na przeżycie.

Jeżeli przeżyje, Jimmy'emu nie będzie groziła kara śmierci, rozważała Cally. Nie mogą go także skazać teraz na śmierć za

zabójstwo policjanta, którego zastrzelił trzy lata temu. Jimmy jest inteligentny. Gdy dowie się, że strażnik żyje, nie będzie chciał ryzykować głowy, mordując to dziecko. Puści je wolno.

Przez radio nadawano teraz inny komunikat: „Dzisiejszego wieczora zaginął siedmioletni Brian Dornan, który odłączył się od swojej matki na Piątej Alei. Rodzina Dornanów przyjechała do Nowego Jorku, ponieważ ojciec Briana...”

Siedząc nieruchomo na kanapie wysłuchiwała rysopisu chłopca podanego przez spikera, który na koniec powiedział: „W studiu jest z nami matka Briana, która chce poprosić wszystkich o pomoc”.

Słuchając błagalnego głosu, Cally przypomniała sobie, jak wyglądała kobieta, która upuściła portfel. Z całą pewnością niedawno ukończyła trzydzieści lat. Pamiętała jej lśniące, ciemne włosy sięgające kołnierza zimowego płaszcza. Widziała jej twarz zaledwie przez ułamek sekundy, ale odniosła wrażenie, że była bardzo piękna. Piękna, elegancka i pozbawiona trosk.

Cally nie mogła znieść tego proszącego o pomoc głosu. Wyłączyła radio. Później przeszła na palcach do sypialni. Gigi spała, oddychając spokojnie i równomiernie, tuląc policzek do ręki, a drugą trzymając mocno rożek kołdry.

Cally uklękła przy łóżeczku. Mogę wyciągnąć rękę i dotknąć jej, pomyślała. Tamta kobieta nie może dotknąć swojego dziecka. Co powinnam zrobić? Jeżeli zadzwonię na policję, a Jimmy zrobi krzywdę Brianowi, powiedzą, że to moja wina, tak jak oskarżyli mnie wtedy, gdy mój brat zabił policjanta. Może jednak zostawi chłopca gdzieś po drodze? Obiecał, że tak zrobi... Przecież nawet Jimmy nie mógłby skrzywdzić dziecka. Będę czekać i modlić się, pomyślała.

\*\*\*

Jimmy postanowił, że przejedzie mostem George'a Washingtona do trasy 4, a później trasą 17 uda się do New York Thruway. Wiedział, że jadąc tą drogą zboczy nieco z kierunku, w jakim zmierza, i lepiej byłoby pojechać przez Bronx do Tap

pan Zee. Instykt ostrzegał go jednak, że powinien jak najszybciej opuścić Nowy Jork. Plusem tej drogi było też to, że na moście Washingtona nie pobierano opłat przy wyjeździe z miasta i Jimmy nie musiał się obawiać, że ktoś może go przy tej okazji zatrzymać.

Brian patrzył przez okno, gdy przejeżdżali na drugą stronę rzeki. Wiedział, że nazywa się Hudson. W New Jersey, niedaleko mostu, mieszkali kuzynostwo jego mamy. Odwiedzili ich w czasie ostatnich wakacji, gdy obaj z Michaeliem spędzali tydzień u babci.

Pamiętał, że to miła rodzina. Poza tym mieli dzieci mniej więcej w ich wieku. Te wspomnienia sprawiły, że Brianowi nagle zebrало się na płacz. Gdyby tylko mógł otworzyć okno i krzyknąć: „Jestem tutaj. Uwolnijcie mnie, proszę!”

Był bardzo głodny i naprawdę potrzebował skorzystać z toalety. Odważył się nieśmiało odezwać:

-Ja... Czy mógłbym... Chciałbym... skorzystać z toalety.

Gdy tylko to z siebie wydusił, natychmiast przestraszył się, że mężczyzna się nie zgodzi. Usta zaczęły mu się trząść, jakby miał się zaraz rozpląkać. Szybko jednak zdusił to w sobie. Pomyślał, że Michael nazwałby go beksą. Ale był w takim stanie, że zateśknił nawet za tym przezwiskiem. Chciałby zobaczyć, co na jego miejscu zrobiłby Michael.

- Chcesz siku?

Mężczyzna nie był na niego wściekły. Może jednak go nie skrzywdzi.

-Mhm.

- Dobrze. Jesteś głodny?

- Tak, proszę pana.

Jimmy czuł się nieco pewniej, od kiedy jechali trasą 4. Na drodze było tłoczno, ale powoli posuwali się do przodu. Nikt nie szukał ich samochodu. Facet, który zostawił swój samochód na parkingu, na pewno dawno już jest w piżamie i ogląda prawdopodobnie po raz czwarty „Its a Wonderful Life”. A jutro rano, kiedy zauważy kradzież toyoty i zgłosi to na policję, on bę-

dzie już w Kanadzie z Paige. Boże, miał fiola na jej punkcie. W całym jego życiu nie było nikogo, kto byłby mu tak bliski, jak ta dziewczyna. Nie chciał się jeszcze zatrzymywać na posiłek. Z drugiej strony jednak poczułby się bezpieczniej, gdyby teraz napełnił bak. Nigdzie nie znalazł informacji, które stacje benzynowe będą czynne w noc wigilijną.

- No dobrze - powiedział do chłopca - za kilka minut zatrzymamy się, żeby zatankować, pójść do kibla, a ja przy okazji kupię coś do picia i jakieś frytki. Później zatrzymamy się u McDonalda i zjemy hamburgery. Pamiętaj tylko, że jeżeli spróbujesz jakiejś sztuczki, gdy zatrzymamy się po paliwo, to... - Wyciągnął z wewnętrznej kieszeni pistolet, skierował go w stronę Briana, odbezpieczył i powiedział; - Bang.

Brian odwrócił głowę. Jechali środkowym pasem autostrady. Mignął mu przed oczami napis informujący o zjeździe w kierunku Forest Avenue. W oddali zobaczył jakiś wóz policyjny, który skręcił na parking. Pewnie policjanci postanowili zjeść kolację.

- Nie będę się do nikogo odzywał. Obiecuję - wykrztusił.

- Obiecuję, tatusiu - nalegał Jimmy.

Tatusiu. Palce Briana instynktownie zacisnęły się na medalionie ze świętym Krzysztofem. Zaniesie go do taty, a on na pewno szybciej wyzdrowieje. A jak będzie już zdrowy, znajdzie tego faceta, Jimmy ego, i ukarze go za to, że był taki niedobry dla jego syna. Brian był tego pewien. Przesuwając opuszką palca po wizerunku postaci niosącej na plecach dzieciątka Jezus powiedział posłusznie:

- Obiecuję, tatusiu.

W komisariacie na Police Plaza na dolnym Manhattanie, gdzie mieścił się punkt dowodzenia obławą na Jimmy ego Siddonsa, z każdą godziną rosło napięcie. Wszyscy doskonale zdawali sobie sprawę, że Siddons nie zawaha się przed kolejnymi zabójstwami. Wiedzieli też, że ma przy sobie broń, którą ktoś przemycił do więzienia.

*Uzbrojony i niebezpieczny* - takim podpisem opatrzone były listy gończe rozesłane za nim po całym mieście.

— Ostatnim razem, gdy ścigaliśmy Siddonsa, otrzymaliśmy co najmniej dwa tysiące bezwartościowych informacji. Każdą z nich musieliśmy sprawdzić, na co zmarnowaliśmy masę czasu, a i tak wsadziliśmy go za kratki tylko dlatego, że był na tyle głupi, aby napaść na stację benzynową w Michigan akurat wtedy, gdy był na niej policjant - narzekał Jack Shore, poirytowany faktem, że pracownicy posterunku cały czas odpowiadają na setki zgłoszeń telefonicznych napływających przez gorącą linię.

Levy przytaknął, ledwo słuchając kolegi.

- Czy wiadomo coś więcej o przyjaciółce Siddonsa? - zapytał Shore'a.

Przed godziną jeden z więźniów z celi Siddonsa poinformował strażnika, że Jimmy przez ostatni miesiąc ciągle chwalił się przed kolegami swoją przyjaciółką o imieniu Paige, która według niego była światowej klasy striptizerką.

Po otrzymaniu tej wiadomości próbowano odnaleźć wspomnianą dziewczynę w Nowym Jorku, ale po przyjęciu hipotezy, że mogła brać udział w napadzie na stację benzynową w Michigan, Shore skontaktował się z tamtejszą policją.

- Jak do tej pory nic. Pewnie kolejna ślepa uliczka.

- Jack, telefon do ciebie z Detroit - zawołał ktoś, z trudem przekrzykując panujący w biurze hałas. Obaj mężczyźni odwrócili się jak na komendę. Shore w dwóch susach znalazł się przy swoim biurku i chwycił słuchawkę.

Jego rozmówca nie tracił czasu.

- Mówi Stan Logan. Jack, spotkaliśmy się, gdy przyjechałeś tu zeszłego lata, aby odebrać Siddonsa. Chyba mam coś, co cię zainteresuje.

- Słucham.

- Nigdy nie dowiedzieliśmy się, gdzie Siddons ukrywał się do momentu skoku na stację benzynową. Ten trop z Paige może być odpowiedzią. Z naszego raportu wynika, że jest tu ktoś, kto nazywa się Paige Laronde i pracuje, według jej własnego określenia, jako tancerka egzotyczna. Dwa dni temu wyjechała z miasta, mówiąc przyjaciołom, że nie wie, czy tu jeszcze kiedyś wróci i że jedzie spotkać się ze swoim chłopakiem.

- Powiedziała, dokąd jedzie?

- Najpierw wspomniała coś o Kalifornii, a potem o Meksyku.

- Kalifornia i Meksyk! Cholera, jeżeli naprawdę pojedzie do Meksyku, nigdy go nie dostaniemy.

- Nasi chłopcy sprawdzają wszystkie dworce kolejowe i autobusowe, a także lotniska. Będziemy cię informować na bieżąco - obiecał Logan i dodał: - Zaraz przyślemy do was faksem raport na jej temat i zdjęcia z występów. Tylko nie pokazuj tego swoim dzieciom.

Shore z impetem odłożył słuchawkę.

- Jeśli Siddons zdołał wyjechać z Nowego Jorku dziś rano, może już być w Kalifornii, a nawet w Meksyku.



- W Wigilię nie jest tak łatwo zrobić w ostatniej chwili rezerwację na samolot - zauważył przytomnie Levy.

-Posłuchaj, ktoś dostarczył mu do więzienia pistolet. Ta sama osoba mogła mieć dla niego ubranie na zmianę, pieniądze i bilet na samolot. Prawdopodobnie odwiozła go nawet na lotnisko w Filadelfii lub w Bostonie, gdzie nikt go nie szuka. Mam przeczucie, że Siddons spotkał się ze swoją dziewczyną i oboje zacierają w stronę południowej granicy, jeżeli już nie zjadają enchiladas. I uważam też, że w taki czy inny sposób osobą, która pośredniczyła w tych przygotowaniach, była jego siostra. Mort Levy patrzył ze zmarszczonymi brwiami, jak Shore idzie w kierunku pokoju z faksem sprawdzić, czy nie ma raportu z Detroit. Następnym krokiem będzie wysłanie portretów Siddonsa i dziewczyny na posterunek graniczny w Tijuana.

Niezależnie od tych przygotowań dzisiejszej nocy czeka nas oblawa w katedrze, z szansą jedną na milion, że wersja Jim-my'ego o oddaniu się w ręce policji jest prawdziwa, pomyślał Mort.

Nie wierzył ani w ucieczkę do Meksyku, ani w dobrowolne oddanie się w ręce władz. Czy ta Paige nie była na tyle inteligentna, aby podać przyjacielom mylną informację, przewidując, że policja prędzej czy później będzie jej szukać?

Właśnie przyniesiono zamówioną kawę i kanapki. Mort poszedł po bułkę z szynką. Przy stole z jedzeniem zastał dwie policjantki pogrążone w rozmowie.

Jedna z nich, Lori Martini, powiedziała:

- Wciąż nie ma śladu po tym zaginionym chłopczyku. Jestem pewna, że uprowadził go jakiś szaleniec.

- Co to za historia z dzieckiem? - zapytał Levy.

Ze skupioną uwagą wysłuchał szczegółów sprawy. Takie przypadki, jak ten, zawsze angażowały emocjonalnie wszystkich pracowników posterunku. Mort sam miał siedmioletniego syna. Doskonale zdawał sobie sprawę, jakie piekło przechodzi

teraz matka zaginionego chłopca. Ojciec jest tak chory, że nie powiedziano mu nawet o tym, co stało się z synem. A jeszcze do tego ten dramat ma miejsce podczas nocy wigilijnej. Boże, niektórych ludzi spotykają prawdziwe nieszczęścia, pomyślał ze współczuciem.

- Telefon do ciebie, Mort - krzyknął ktoś z drugiego końca pokoju.

Levy wrócił do swojego biurka, niosąc kawę i bułkę.

- Kto to? - zapytał, biorąc do ręki słuchawkę. - Jakaś kobieta. Nie przedstawiła się.

- Detektyw Levy, słucham - odezwał się.

Z drugiej strony linii usłyszał czyjś przyspieszony oddech, a w chwilę później przerywany sygnał; połączenie zostało przerwane.

\*\*\*

Reporter WCBS Alan Graham szedł w kierunku policyjnego wozu patrolowego, w którym godzinę temu nagrywał rozmowę z Catherine Dornan, aktualizując informacje w sprawie zaginionego dziecka.

Była już dwudziesta trzydzieści. Sypiący do tej pory leniwie śnieg przerodził się w prawdziwą śnieżycę.

W pewnej chwili Graham usłyszał w słuchawkach najnowszy komunikat dotyczący sprawy zbiega z więzienia: „Stan Mario Bonardiego, rannego strażnika, wciąż jest krytyczny. Burmistrz Giuliani i komisarz policji Bratton złożyli już drugą wizytę w szpitalu, gdzie ranny przebywa na oddziale intensywnej terapii po skomplikowanej operacji, jaką niedawno przeszedł. Jak podano w ostatnim raporcie, policja podejrzewa, że napastnik, zbiegły z więzienia Jimmy Siddons, skazany za morderstwo, spotkał się prawdopodobnie ze swoją przyjaciółką w Kalifornii, skąd mają zamiar udać się do Meksyku. Postawiono w stan pogotowia straż graniczną w Tijuana”.

Następnie dziennikarz dodał, że otrzymano także nieoficjalną informację, jakoby Jimmy Siddons zamierzał, jak

Oświadczył jego adwokat, oddać się w ręce policji w katedrze Świętego Patryka po pastercie. Zdecydowano się jednak nie podawać tego do wiadomości publicznej. Sami policjanci nie bardzo wierzyli w tę historię i nie chcieli niepokoić plotką wiernych.

Na Piątej Alei było już tylko kilku przechodniów. Graham poczuł nagle, że jest coś niestosownego w relacjonowaniu przez ich radiostację tuż przed Bożym Narodzeniem sensacyjnych historyjek: ucieczka zabójcy policjanta, strażnik walczący o życie, zaginięcie siedmioletniego chłopca, który prawdopodobnie padł ofiarą jakiegoś zbrodźcy.

Podszedł do samochodu i zastukał w okno. Catherine opuściła do połowy szybę. Obserwując ją Graham zastanawiał się, jak długo jeszcze uda jej się zachowywać taki spokój i opanowanie. Siedziała na miejscu obok fotela kierowcy, który zajmował posterunkowy Ortiz. Jej starszy syn Michael przesiadł się do tyłu, gdzie tuliła go w ramionach jakaś elegancka, starsza pani.

Catherine odpowiedziała na nie zadane jeszcze pytanie:

- Wciąż czekam. Pan Ortiz jest tak miły, że został tu z nami. Nie wiem dlaczego, ale mam przeczucie, że znajdziemy Briana gdzieś w pobliżu tego miejsca. — Odwróciła się lekko do tyłu. -Mamo, poznaj pana Alana Grahama z WCBS. Przeprowadził ze mną wywiad zaraz po moim telefonie do ciebie.

Barbara Cavanaugh dostrzegła w twarzy młodego reportera współczucie. Chociaż wiedziała, że gdyby miał im coś do przekazania, zrobiłby to natychmiast, nie mogła powstrzymać się od zapytania:

- Jakież nowiny?

-Niestety nie, proszę pani. Mieliśmy bardzo wiele telefonów do studia, ale dzwoniли tylko ludzie, którzy chcieli wyrazić swoje współczucie.

- On po prostu rozpląnął się w powietrzu - odezwała się Catherine słabym głosem. - Oboje z Tomem wychowywaliśmy naszych synów w wierze, że ludziom należy ufać, ale staraliśmy

się także przygotować ich na nieprzewidziane sytuacje. Brian doskonale wiedział, że jeżeli się zgubi, ma podejść do pierwszego spotkanego policjanta. Znał też numer na policję. Ktoś musiał go uprowadzić. A kto inny mógłby uprowadzić i przetrzymać siedmioletniego chłopca, jeśli nie...?

- Catherine, kochanie, nie dręcz się - poprosiła matka. -Każdy, kto słyszał przez radio twój apel, na pewno modli się teraz za Briana. Musisz okazać wiarę.

Catherine czuła, jak narasta w niej rozgoryczenie i złość. Tak, to prawda, powinna okazać wiarę. Brian na pewno ją ma -wystarczająco mocno wierzył w ten medalion ze świętym Krzysztofem, aby pójść za każdym, kto zabrał portfel. Wiedział, że medalion jest w środku, rozważała Catherine, i dlatego postanowił go odzyskać. Obejrzała się na matkę i przytulonego do niej Michaela. Jej gniew nagle zniknął. To nie była wina matki, że spotkało ich takie nieszczęście. Nie, wiara - nawet w coś tak dziwnego, jak medalion ze świętym Krzysztofem — była pożyteczną rzeczą.

- Masz rację, mam - powiedziała.

Graham usłyszał w słuchawkach głos kolegi z radia:

- Alan, wchodzisz na antenę.

Odszedł kilka kroków od samochodu i przekazał swój komunikat:

- Matka Briana Dornana wciąż przebywa w miejscu, gdzie kilka minut po siedemnastej zaginął jej synek. Policja przychyliła się do podejrzeń Catherine Dornan, że Brian mógł widzieć, kto ukradł portfel jego matki, i pójść za tą osobą. W portfelu znajduje się medalion z wizerunkiem świętego Krzysztofa, który Brian miał podarować swojemu ojcu, przebywającemu obecnie w szpitalu.

Graham podszedł do auta i wręczył Catherine mikrofon.

- Brian wierzy, że medalion ten sprawi, że jego ojciec szybciej wyzdrowieje. Gdybym wierzyła w to równie mocno jak mój syn, pewnie lepiej pilnowałabym portfela. Pragnę, aby mój mąż wyzdrowiał. Pragnę, aby mój synek się odnalazł - powiedziała

wyraźnie, chociaż w jej głosie brzmiało ogromne wzruszenie. -W imię Boga, jeżeli ktokolwiek wie, co stało się z Brianem, lub może wskazać miejsce, gdzie przebywa mój syn, błagam o kontakt.

Graham ponownie odszedł od samochodu.

- Jeżeli ktoś wie cokolwiek na temat zaginięcia Briana, prosimy, aby oszczędził cierpienia jego matce i zatelefonował do nas pod numer dwieście dwanaście, pięćset pięćdziesiąt pięć, zero, siedemset czterdzieści osiem.

Cally wyłączyła radio, do oczu napłynęły jej łzy. „Jeśli ktokolwiek wie, co stało się z Brianem...” Próbowałam, przekonywałam usilnie sama siebie. Próbowałam.

Wykręciła numer telefonu detektywa Levy'ego, ale gdy usłyszała w słuchawce jego głos, uświadomiła sobie nagle jasno niebezpieczeństwo, na jakie w tym momencie się naraża. Policja mogła wydać nakaz aresztowania jej. Mogli znowu zabrać Gigi i umieścić w jakiejś rodzinie zastępczej.

Jeśli ktokolwiek wie o miejscu przebywania Briana...

Cally sięgnęła po słuchawkę.

W tej samej chwili z sypialni dobiegł ją płacz dziecka. Odwróciła się w tamtą stronę. Gigi znowu śniły się koszmary. Cally wbiegła do drugiego pokoju, usiadła na skraju łóżka i chwyciła córeczkę w ramiona, kołysząc ją i tuląc.

-Już dobrze, kochanie, wszystko w porządku.

Gigi przyłgnęła do niej całym ciałkiem.

- Mamusiu, mamusiu. Śniło mi się, że znowu zniknęłaś. Błagam cię, mamusiu, nie odchodź. Nie zostawiaj mnie, proszę. Nie chcę znowu mieszkać z obcymi ludźmi, nigdy.

- Kochanie, to już nigdy się nie powtórzy, obiecuję ci. Czują wyraźnie, jak mała się odpręża. Delikatnie ułożyła ją w łóżeczku i pogładziła po główce.

- A teraz zaśnij, aniołku.

Gigi zamknęła oczy, ale zaraz znowu je otworzyła.

- Czy mogę zobaczyć, jak Święty Mikołaj otwiera swój prezent? - wymamrotała zasypiając.

\*\*\*

Jimmy Siddons przyciszył radio w samochodzie.

- Twoja mama pewnie dostaje bzika z niepokoju o ciebie, mały.

Brian ledwie zapanował nad sobą, aby nie sięgnąć ręką do deski rozdzielczej i nie podkręcić radia. Głos mamy był taki smutny. Musi zrobić wszystko, aby do niej wrócić. Teraz ona także wierzy w medalion ze świętym Krzysztofem. Był tego pewien.

Na autostradzie było dużo samochodów i chociaż padał gęsty śnieg, poruszały się ze sporą prędkością. Jimmy jechał zewnętrznym prawym pasem i od strony Briana nie nadjeżdżało żadne auto. Chłopiec zaczął obmyślać plan ucieczki.

Gdyby udało mu się wystarczająco szybko otworzyć drzwi i wyskoczyć, może wylądowałby bezpiecznie na poboczu. Przez moment ścisnął w dłoni medalion, a potem powoli przesunął ją w kierunku klamki. Nacisnął ją delikatnie, sprawdzając, czy nie stawia oporu. Miał rację. Jimmy nie zablokował drzwi po postoju na stacji benzynowej.

Brian już zamierzał je otworzyć, gdy przypomniał sobie o pasie bezpieczeństwa. Musi go odpiąć w momencie, gdy naciśnie klamkę. Starając się nie zwrócić uwagi Jimmy ego położył wskazujący palec lewej ręki na przycisku zwalniającym klamrę.

Właśnie ostrożnie zbliżał rękę do drzwi, gdy nagle Jimmy głośno zaklął. Z lewej strony wyprzedzał ich jadący zygzakiem samochód. W ułamku sekundy znalazł się na pasie tuż przed toyotą. Jimmy raptownie zahamował. Auto wpadło w poślizg i gwałtownie zarzuciło tyłem. Brian wstrzymał oddech. Uderz, błagał, uderz w coś!

Jimmy jednak zachował zimną krew i zdołał wyprowadzić samochód na prostą, cudem wymijając nadjeżdżające pojazdy.

Przed nimi zawyły syreny i Brian zobaczył błyskające światła karetek i wozów policyjnych. Ambulanse zatrzymały się przy jakiejś kraksie, którą minęli nawet nie zwalniając. Jimmy uśmiechnął się krzywo, zadowolony.

- Mamy szczęście, co mały? - powiedział, odwracając głowę w stronę chłopca.

Brian wciąż jeszcze trzymał dłoń na klamce.

- Nie myślałeś chyba o wyskoczeniu z samochodu? - zapytał Jimmy.

Wyciągnął rękę i zablokował drzwi. - Trzymaj się od tego z daleka. Jeśli jeszcze raz zobaczę, że zbliżasz się do klamki, połamię ci paluchy - dodał spokojnie.

Brian nie miał najmniejszej wątpliwości, że spełni swoją groźbę.



Była dwudziesta druga dziesięć. Mort Levy siedział przy biurku, zatopiony w myślach. Wiedział, w jaki sposób należy tłumaczyć to przerwane połączenie: Cally Hunter. Taśma z policyjnej furgonetki, gdzie nagrywano rozmowy z mieszkania Cally, potwierdziła, że dziewczyna telefonowała do niego. Policjant, który miał dyżur przy podsłuchu, zaoferował się nawet, że pójdzie na górę i porozmawia z nią, ale Mort uznał, że lepiej zostawić ją w spokoju. Zdawał sobie sprawę, że nic by to nie dało. Cally z całą pewnością powtórzyłaby tylko to, co mówiła rano. Ale ona wie o czymś i boi się powiedzieć, doszedł do wniosku Levy. Dwa razy telefonował do niej, ale nikt nie podniósł słuchawki. Wiedział jednak, że Cally jest w domu. Nikt z obserwujących budynek nie zauważył, żeby wyszła z domu. Dlaczego więc nie odpowiadała na telefony? Czy powinien mimo wszystko pójść do niej?

- Co z tobą? - usłyszał zniecierpliwiony głos Jacka Shore'a. - Straciłeś nagle słuch?

Mort się obejrzał. Starszy detektyw stał obok i patrzył na niego groźnie. Nic dziwnego, że Cally się go bała, pomyślał Mort.

- Myślę - odparł sucho Mort, z trudem hamując się od rzucenia uwagi, aby i Jack spróbował to czasem robić.

-Świetnie, ale myśl razem z nami. Już prawie kończymy przygotowania do obławy w katedrze - oznajmił Shore, a po

chwili dodał niemal z troską w głosie: - Mort, czemu trochę nie odpoczniesz?

Może nie jest aż tak pozbawony ludzkich uczuć, jak próbuje nam udowodnić, przemknęło przez myśl Mortowi.

- Nie widziałem, żebyś ty dziś wypoczywał, Jack - odpowiedział.

- To dlatego, że nienawidzę Siddonsa bardziej niż ty. Mort podniósł się niespiesznie. Wciąż analizował sprawę Cal-

ly Hunter, starając się wydobyć z pamięci szczegóły, które naprowadziłyby go może na trop czegoś, co mogłoby stanowić punkt zaczepienia dla zbudowania logicznej hipotezy. Odwiedzili Cally o siódmej piętnaście rano. Była już przygotowana do wyjścia z domu. Po raz drugi widzieli ją niemal dwanaście godzin później. Wyglądała na bardzo zmęczoną i zmartwioną. Teraz pewnie już śpi. Ale Mort czuł każdym nerwem swojego ciała, że powinien jak najszybciej z nią porozmawiać. Chociaż do niczego się nie przyznała, miał wrażenie, że trzyma w ręku klucz do całej sprawy.

Zadzwoił telefon. Mort natychmiast podniósł słuchawkę i znowu usłyszał ten sam przyspieszony, zalekniony oddech. Tym razem postanowił przejąć inicjatywę.

- Cally - powiedział szybko. - Cally, odezwij się. Nie bój się. Cokolwiek się stało, pomogę ci.

\*\*\*

Cally nawet nie myślała o tym, aby się położyć. Kręciła gałką radia, starając się wylapać wszystkie stacje nadające wiadomości. Miała nadzieję, że policja znajdzie i aresztuje Jimmy'ego, chociaż jednocześnie bała się i modliła, aby nic złego nie przytrafiło się małemu Brianowi. O dwudziestej drugiej włączyła telewizor, aby obejrzeć dziennik lokalnej stacji Fox i nagle serce w niej zamarło. Obok spikera, Tony'ego Potts'a, zobaczyła na ekranie matkę Briana. Włosy miała potargane, jakby długi czas przebywała na wietrze i śniegu, twarz bladą, a oczy przepełnione ogromnym cierpieniem. Obok niej siedział dziesięcioletni na oko chłopiec.

- Może słyszeliście już państwo apel Catherine Dornan, która zwraca się do wszystkich z prośbą o pomoc w odnalezieniu syna Briana - mówi spiker. - Poprosiliśmy ją i brata Briana, Michaela, aby zostali z nami w studiu. Dzisiejszego wieczora kilka minut po siedemnastej na rogu Piątej Alei i Czterdziestej Dziewiątej Ulicy było bardzo tłoczno. Może był tam również ktoś z państwa. Może pamiętacie Catherine i jej dwóch synów, Briana i Michaela. Znajdowali się w grupie ludzi słuchających ulicznego skrzypka i śpiewali z nim kolędy. Siedmioletni Brian, stojący obok matki, nagle zniknął. Jego matka i brat potrzebują waszej pomocy, aby go odnaleźć.

Następnie spiker zwrócił się do Catherine;

— Ma pani przy sobie zdjęcie Briana.

Kobieta odwróciła w stronę kamery fotografię syna:

— To ujęcie nie jest najlepsze, chciałabym więc dodać kilka informacji o Brianie. Ma siedem lat, ale wygląda na mniej, gdyż jest dość niski. Ma ciemnorude włosy i błękitne oczy, na nosie piegi...

Tu jej głos się załamał. Michael objął matkę ramieniem.

- Mój brat ubrany jest w niebieską kurtkę narciarską, taką jak moja, ale moja jest zielona... Nosi też czerwoną czapkę. Brakuje mu jednego zęba na przedzie. Musimy go odnaleźć. Nie możemy powiedzieć tacie, że zaginął. Tata jest bardzo chory i nie może się denerwować. - Jego głos stał się bardziej stanowczy. -Znam dobrze naszego tatę. Na pewno będzie chciał coś zrobić. Może nawet wstać z łóżka i sam zacząć szukać Briana, ale nie możemy do tego dopuścić. On jest chory, bardzo ciężko chory.

Cally wyłączyła telewizor. Przeszła na palcach do sypialni, gdzie spokojnie spała Gigi, i podeszła do okna, za którym znajdowały się schody przeciwpożarowe. Wciąż pamiętała spojrzenie Briana, gdy patrzył na nią przez ramię, błagając niemo o pomoc. Jedną ręką trzymał się kurczowo Jimmy'ego, a w drugiej ścisnął medalion ze świętym Krzysztofem, jakby wierząc, że jest on w stanie go uratować.

Cally potrząsnęła głową. Doskonale pamiętała ten medalion. Chłopiec w ogóle nie interesował się pieniędzmi. Poszedł za nią, ponieważ wierzył, że medalion przywróci zdrowie jego ojcu.

Odwróciła się i pobiegła do pokoju. Schwyciła leżącą na stole wizytówkę Morta Levy'ego.

Gdy w słuchawce odezwał się głos detektywa, znowu ogarnęło ją przerażenie, ale po chwili ciszy usłyszała, jak mówi do niej przyjaźnie i ciepło:

- Cally, odezwij się. Nie bój się.

- Panie Levy - wyrzuciła z siebie bez namysłu - czy może pan tu przyjechać, szybko? Muszę z panem porozmawiać o Jimmym i o tym chłopcu, który dzisiaj zaginął.

Z prowiantu, jaki kupił Jimmy na stacji benzynowej, pozostały już tylko puste puszki po coca coli i pogniecione opakowania po frytkach. Jimmy rzucił swoje śmiecie na podłogę koło Briana, chłopiec zaś włożył resztki do plastikowego pojemnika umieszczonego pod deską rozdzielczą.

Nawet nie pamiętał, jak smakowały frytki. Był tak głodny i przestraszony, że nie zauważył, co je.

Zdawał sobie sprawę, że Jimmy jest wściekły. Od czasu, gdy cudem uniknęli kraksy, a on się zorientował, że chłopiec zamierzał wyskoczyć z samochodu, zaczął zachowywać się bardzo nerwowo. Bębnił palcami po kierownicy, a ten nieprzyjemny dźwięk przyprawiał Briana o dreszcze.

Gdy usłyszał go po raz pierwszy, wzdrygnął się i aż podskoczył na fotelu, a Jimmy złapał go za ramię i ponownie ostrzegł, aby nie dotykał drzwi.

Padał coraz większy śnieg. Znow jakiś samochód jadący przed nimi ostro zahamował, obrócił się wokół własnej osi i pojechał dalej.

Jimmy zaczął kląć, wyrzucając z siebie potok słów, jakich Brian w większości nigdy przedtem nie słyszał, nawet w ustach Skeeta, kolegi z klasy, nieźle radzącego sobie z podobnym słownictwem.

Obserwując wychodzący z poślizgu samochód, Jimmy uświadomił sobie, że chociaż na razie szczęście mu sprzyja i jego ucieczka przebiega bez żadnych komplikacji, to jednak

w każdej chwili może się zdarzyć coś, co pokrzyżuje jego plany. Jak na razie, nie podano informacji, że postrzelony przez niego strażnik ma szansę przeżyć. A jeżeli umrze... Jimmy już wcześniej powiedział Cally, że nie pozwoli się wziąć żywcem.

Postanowił jeszcze raz przeanalizować swoją sytuację. Miał samochód, którego właściciele prawdopodobnie nadal niewiedzą, że został skradziony. Miał porządne ubranie i pieniądze. Ale gdyby tamten wariat go stuknął, małemu mogłoby się udać wyskoczyć z samochodu. Albo gdyby ten, myślał Jimmy, który przed chwilą wpadł w poślizg, zderzył się z jego toyotą, mógłby przecież zostać ranny. Gdybym był sam, nakarmiłbym patrol jakąś zmyśloną historią i zblefował, ale z dzieckiem ten numer nie przejdzie. Jednak z drugiej strony nikt nie podejrzewa, że jadę z dzieckiem, a żaden policjant nie będzie niczego podejrzewał widząc faceta w drogim samochodzie, wiozącego na tylnym siedzeniu stos prezentów, a obok siebie kilkuletniego chłopczyka. Byli już niedaleka Syracuse. Za trzy, góra cztery godziny razem z Paige przekroczą granicę.

Po prawej stronie autostrady pojawił się znak McDonalda. Jimmy poczuł na nowo głód i uznał, że mogliby coś przekąsić. To powinno mu wystarczyć aż do Kanady. Postanowił podejść do okienka, gdzie kupuje się posiłki nie wysiadając z samochodu, zamówić coś dla nich obu i szybko wrócić na drogę.

- Co najbardziej lubisz u McDonalda? - zapytał Briana niemal wesoło. Brian również zauważył reklamy hamburgerów i aż wstrzymał oddech, mając nadzieję, że właśnie tutaj coś zjedzą.

- Hamburgera, francuskie frytki i colę - powiedział cicho. - Jeżeli zatrzymamy się u McDonalda, potrafisz udawać, że śpisz?

- Tak, obiecuję.

- Zrób to teraz. Oprzyj głowę na moim ramieniu i zamknij oczy.

- Dobrze. - Brian posłusznie przytulił się do Jimmy'ego i za-

mknął oczy. Starał się, aby nie było po nim widać, jak bardzo się boi.  
- Zobaczmy, co z ciebie za aktor - powiedział Jimmy. - Radzę ci, żebyś był w tym dobry

Medalion ze świętym Krzysztofem ześlizgnął się Brianowi z piersi. Chłopiec poprawił go i znowu poczuł krzepiący ciężar metalowego krążka.

Bał się być tak blisko tego mężczyzny, czuł się zupełnie inaczej niż wtedy, gdy jeżdżąc z tatą drzemał w podobny sposób; zwinięty w fotelu i przytulony do ojca, który obejmował go ramieniem.

Jimmy zjechał z autostrady i ustawił się w kolejce samochodów do okienka. Nagle zeszywniał - tuż za nimi ustawił się wóz patrolowy. Nie miał jednak innego wyjścia, jak tylko pozostać na miejscu i starać się nie zwracać na siebie uwagi. Gdy nadeszła jego kolej, złożył zamówienie i zapłacił, po czym odetchnął z ulgą, bowiem sprzedawca nie okazał najmniejszego zainteresowania pasażerem w samochodzie. Ale gdy odbierał torby z hamburgerami, podająca je kobieta wychyliła się zza lady i zobaczyła Briana.

- Pewnie nie może się już doczekać, żeby zobaczyć, co przyniósł mu Święty Mikołaj, prawda?

Jimmy przytaknął i sięgając po torby spróbował się miło uśmiechnąć. Kobieta wychyliła się jeszcze bardziej i zajrzała w głąb auta.

- Mój Boże, czy on ma na szyi medalion ze świętym Krzysztofem? Mój tata został nazwany na jego cześć i zawsze był z tego bardzo dumy, chociaż mama naśmiewała się z niego, mówiąc, że ten opiekun Jezusa został wyrzucony z grona świętych. Tata żartował sobie wtedy dogadując, że mama powinna mieć na imię Filomena. To kolejna święta, która nie spodobała się w Watykanie.

Śmiejąc się serdecznie, kobieta podała Jimmy'emu torbę.

Brian odważył się otworzyć oczy dopiero gdy wjechali znowu na autostradę. Czuł zapach hamburgerów i frytek i po prostu ciekła mu ślinka. Powoli wyprostował się w fotelu.

Jimmy spojrzał na niego zimno, najwyraźniej wściekły i wycedził przez zaciśnięte usta:

- Zdejmij z szyi ten cholerny medalion.

Cally chce porozmawiać o swoim bracie i zaginionym dziecku.

Mort Levy obiecał, że przyjedzie najszybciej, jak tylko będzie mógł, odłożył słuchawkę i zamyślił się. Co mogło łączyć sprawy Jimmy'ego Siddonsa i chłopca, który zaginał na Piątej Alei?

Wykręcił numer do punktu obserwacyjnego w furgonetce.

- Nagraliście tę rozmowę?

- Czy ona zwariowała, Mort? Nie chodziło jej chyba o małego Dornana, co? Czy mamy przywieźć ją na przesłuchanie?

- Tego właśnie pod żadnym pozorem nie wolno wam zrobić! - zawołał Levy - Ta kobieta jest śmiertelnie przerażona. Czekajcie na mnie i nic nie róbcie.

Musiał zawiadomić o telefonie Cally Hunter swoich przełożonych, zaczynając od Jacka Shore'a, który wychodził właśnie z gabinetu szefa. Natychmiast zerwał się z krzesła i pobiegł tam.

-Zaczekaj.

- Mówiłem, żebyś sobie zrobił przerwę. - Shore próbował się wywinąć. - Mieliśmy kolejną informację od Logana z Detroit. Dwa dni temu kobieta, której rysopis pasuje do przyjaciółki Siddonsa, przejechała prywatnym samochodem granicę w kierunku Windsoru. Ludzie Logana są zdania, że Laronde powiedziała swojej przyjaciółce o Meksyku i Kalifornii, aby zmylić ślady. Dziewczyna została jeszcze raz przesłuchana. Tym razem powiedziała, że zaproponowała Laronde odkupienie od niej futra, które nie powinno jej być potrzebne w Meksyku. Laronde odmówiła.

No to słusznie nie uwierzyłem w tę historię o Meksyku, pomyślał Levy. Nie zwalnając uchwytu, otworzył drzwi do gabinetu szefa.



Pięć minut później policyjny wóz patrolowy jechał East Side Drive w kierunku skrzyżowania Alei B i Ulicy Dziesiątej. Wyraźnie niezadowolony Jack Shore został poproszony o pozostanie w furgonetce, podczas gdy Mort i Bud Folney, ich szef, zamierzali udać się do mieszkania Cally.

Shore nie daruje mi, że nalegałem, aby nie szedł z nami, pomyślał Mort.  
- Jack, gdy byliśmy tam dziś rano, odniosłem wrażenie, że ona coś przed nami ukrywa - powiedział w gabinecie. - To ty ją przestraszyłeś. Jest przekonana, że wykorzystasz każdą możliwość, aby znowu ją zamknąć. Na Boga, czy ty nie potrafisz spojrzeć na nią jak na człowieka? Ma czteroletnie dziecko, jej mąż nie żyje, a poza tym ciąży na niej wyrok za to, że pomogła bratu, którego przecież właściwie sama wychowywała. Potem Mort zwrócił się do Folneya:

- Nie mam pojęcia, co Jimmy Siddons ma wspólnego z zaginionym dzieckiem, ale jestem pewien, że Cally była zbyt przerażona, aby o tym mówić. Jeżeli teraz powie nam wszystko, co wie, zrobi to tylko dlatego, że wierzy, iż policja... ty... nie przyszedłeś, aby ją aresztować.

Folney pokiwał głową. Był szczupłym, czterdziestokil-kuletnim mężczyzną o twarzy naukowca. Rzeczywiście, zanim odkrył w sobie pasję pilnowania porządku publicznego, był przez trzy lata wykładowcą. W środowisku mówiło się, że któregoś dnia zostanie komisarzem. Już teraz był jednym z najważniejszych ludzi w departamencie.

Mort Levy wiedział, że jedyną osobą, która mogłaby pomóc Cally - zakładając, że i tym razem została zmuszona do krycia swojego brata - jest Folney. Ale co z tym zaginionym dzieckiem? Jaką rolę odegrał w tej sprawie Siddons?

Gdy samochód zatrzymał się przy furgonetce, Shore spróbował jeszcze raz:

- A jeżeli obiecuję, że nie będę się odzywał...
- Proponuję, abyś zaczął od zaraz, Jack. Zostań w furgonetce.

Pete Cruise postanowił już zakończyć pracę. Adres Cally Hunter znał od czasu, gdy starał się przeprowadzić z nią -L. wywiad dla radia zaraz po tym, jak wyszła z więzienia. Tego wigilijnego wieczora liczył na to, że czatując pod jej domem wypatrzy Jimmy'ego Siddonsa. Przez kilka godzin, które spędził na obserwacji, nie wydarzyło się jednak nic szczególnego, może poza opadami śniegu. Prószył już od dłuższego czasu, na szczęście z przerwami, i Pete miał nadzieję, że wkrótce ustanie na dobre. Furgonetka, w której, jak się domyślał, siedzieli policjanci, wciąż stała po drugiej stronie ulicy, na wprost domu Cally. Miał jednak wrażenie, że ludzie ci nie robili nic poza nagrywaniem jej rozmów telefonicznych. Prawdopodobieństwo, że Jimmy Siddons pojawi się pod domem siostry, było mniej więcej takie, jak spotkanie dwojga ludzi z takim samym kodem DNA. Pete uznał, że traci czas. Od momentu, gdy krótko po osiemnastej Cally wróciła do domu, a godzinę później weszli na górę ci dwaj detektywi, praktycznie nic się nie działo. Cały czas miał włączone swoje przenośne radio i wędrował po falach między pasmem policyjnym, swoją radiostacją WYME a nadającą wiadomości stacją WCBS. Nie było żadnych wiadomości o Siddonsie. Do tej pory nic nie zrobiono w sprawie zaginionego dziecka. Słuchając o dwudziestej drugiej serwisu informacyjnego WYME, Pete chyba po raz setny pomyślał, że głos spikerki

brzmi całkowicie beznamiętnie. Dopiero gdy zaczęła czytać komunikat o zaginionym dziecku, dało się wyczuć pewne zabarwienie emocjonalne. Może codziennie potrzebujemy jakiegoś zaginionego dzieciaka, pomyślał sarkastycznie Pete i natychmiast zrobiło mu się wstyd.

Mieszkańcy domu Cally Hunter byli bardzo aktywni, ciągle ktoś wchodził lub wychodził. Tego szczególnego wieczora w wielu kościołach msze odbywały się aż do godziny dwudziestej drugiej. Ale niezależnie od tego, jak późno będą się zaczynać nabożeństwa, zawsze znajdą się tacy, którzy nie zdążą - pomyślał Pete, widząc parę staruszków wychodzących w pośpiechu z budynku i kierujących się w stronę Alei B. Zmierzali prawdopodobnie do kościoła Świętego Emeryka.

Ulicą nadchodziła kobieta, która wcześniej przyprowadziła córeczkę Cally. Czyżby szła do Hunter? Może Cally zamierza gdzieś wyjść? - zastanawiał się Pete.

Po chwili wzruszył ramionami, zniechęcony. Pewnie Cally miała jakąś późną randkę albo też wybierała się do kościoła. Miał przeczucie, że tego dnia nie znajdzie tu żadnego materiału, który dałby mu szansę zabłyśnięcia jako reporter.

Pete uruchomił silnik. Już zamierzał odjechać, gdy nagle zauważył wyłaniający się zza rogu policyjny wóz patrolowy, który po chwili zatrzymał się przed domem Cally.

Mrużąc oczy przyglądał się trzem mężczyznom wysiadającym z auta. W jednym z nich rozpoznał Jacka Shore'a; detektyw przeszedł na drugą stronę ulicy i zniknął w furgonetce. W słabym świetle padającym z klatki schodowej Pete zobaczył też Morta Levy'ego. Niestety, z miejsca, w jakim się znajdował, nie mógł rozpoznać trzeciego mężczyzny.

Niewątpliwie coś zaczynało się dziać. Pete zgasił silnik i postanowił poczekać.

\*\*\*

Czekając na Morta Levy'ego, Cally wyciągnęła prezenty dla Gigi ukryte za kanapą i ułożyła je pod choinką. Znalazio-

ny w sklepie z używanymi rzeczami wózek dla lalek nie wygląda najgorzej, pomyślała, szczególnie wymoszczony elegancką satynową pościelą w błękitnym kolorze. W wózku znajdowała się też lalka, kupiona miesiąc wcześniej za kilka dolarów, niestety, nie tak ładna jak ta, którą widziała u sprzedawcy na Piątej Alei. Tamta miała takie same brązowe włosy jak Gigi i ubrana była w szafirową, wieczorową suknię. Gdybym nie rozglądała się za tym sprzedawcą, nie zauważyłabym leżącego na chodniku portfela, chłopiec nie poszedłby za mną do domu i...

Cally szybko odsunęła od siebie tę myśl. Ostrożnie wyjęła następne prezenty, każdy owinięty w ozdobny papier: spodenki i koszulkę polo firmy GAP, kredki i książeczkę do kolorowania, kilka nowych mebelków do domku dla lalek, który Gigi już miała. Każda rzecz, nawet ubranka, zapakowana była w osobne pudełko, co w efekcie sprawiało wrażenie, że pod choinką jest cała góra podarunków.

Układając je Cally starała się nie patrzeć na największe pudło, to, o którym Gigi myślała, że jest dla Świętego Mikołaja.

Gdy wszystko już było na miejscu, zatelefonowała do Aiki. Jej wnuczęta zawsze nocują z rodzicami, więc mogłaby zająć się Gigi, gdyby ją aresztowano po zeznaniach na temat Jimmy'ego i Briana.

Aika niemal natychmiast podniosła słuchawkę. -Hallo.

Jej głos był jak zwykle ciepły i serdeczny. Gdyby tylko pozwolili Aice opiekować się Gigi, kiedy mnie wsadzą do więzienia, przemknęło Cally przez myśl.

-Aika, mam kłopoty. Czy mogłabyś za jakieś pół godziny wpaść do mnie i ewentualnie przenocować?

- Przecież dobrze wiesz, że mogę - odpowiedziała, o nic nie pytając.

Gdy Cally odkładała słuchawkę, rozległ się dzwonek domofonu.

\*\*\*

- Pani Dornan, telefony dosłownie się urywają - poinformowała Catherine Ann Winick, producentka „Ten O'Clock News” w stacji telewizyjnej Fox 5, gdy oboje z Michaeliem, uważając na splątane na podłodze kable, wychodzili ze studia. ~ Wygląda na to, że wszyscy nasi telewidzowi kibicują wam i modlą się za Briana i pani męża.

- Bardzo dziękuję.

Catherine próbowała odwzajemnić uśmiech. Spojrzała na Michaela, który bardzo starał się jej pokazać, że dzielnie się trzyma. Ale słuchając jego rozpaczliwej prośby o pomoc w odnalezieniu brata uświadomiła sobie, jak mocno to przeżywa. Stał obok niej zgarbiony, z rękoma wepchniętymi głęboko w kieszenie. Do złudzenia przypominał Toma, który często, martwiąc się o zdrowie któregoś ze swoich pacjentów, nieświadomie przybierał identyczną postawę. Gdy zamykały się za nimi drzwi studia, Catherine objęła syna i mocno przytuliła.

- Telefonistki dziękują w waszym imieniu wszystkim dzwoniącym, ale może chciałaby pani jeszcze coś im przekazać? - zapytała producentka.

Catherine wzięła głęboki oddech i jeszcze mocniej przytuliła Michaela.

- Chciałabym powiedzieć, że Brian prawdopodobnie poszedł za kimś, kto znalazł mój portfel. Bardzo mu zależało na jego odzyskaniu z powodu medalionu z wizerunkiem świętego Krzysztofa, który znajdował się w środku. Medalion ten to prezent od mojej matki; mój ojciec miał go przy sobie podczas drugiej wojny światowej. Wierzył, że tylko dzięki świętemu Krzysztofowi udało mu się wrócić do domu. Na medalionie jest nawet ślad po kuli, która mogła śmiertelnie ugodzić mojego ojca. Brian też mocno wierzy, że ten święty ma w opiece naszą rodzinę... Ja zresztą również w to wierzę. Wierzę, że święty Krzysztof na własnych ramionach przyniesie do nas Briana, a także sprawi, że mój mąż wyzdrowieje. Mam rację, synku? - Spojrzała z uśmiechem na Michaela.

- Czy ty naprawdę w to wierzysz, mamusiu?

Catherine zaczerpnęła duży haust powietrza. Wierzę, mój Boże, pomóż mi w to wierzyć.

- Tak, wierzę - powiedziała stanowczo.

I może dlatego, że była Wigilia, Catherine poczuła, że tak jest naprawdę.

Patrolowy Chris McNally zatopił się w myślach, podczas gdy Deidre Lenihan rozwodziła się nad zauważonym właśnie medalionem, opowiadając głównie o swoim ojcu, który nosił imię po świętym Krzysztofie. To była miła dziewczyna, ale za każdym razem, gdy zatrzymywał się na kawę u McDonalda, trafiał właśnie na nią, a ona zawsze miała bardzo dużo do powiedzenia.

Tego wieczora Chris marzył już tylko o tym, aby znaleźć się w domu. Miał nadzieję, że uda mu się trochę zdrzemnąć, zanim dzieci zaczną otwierać gwiazdkowe prezenty. Jego myśli krążyły też wokół toyoty, która właśnie odjeżdżała od okienka. Sam miał zamiar kupić takie auto, chociaż na pewno nie brązowe, bo jego żona nie lubiła tego koloru. Gdyby się jednak na to zdecydowali, ich miesięczne płatności bardzo by wzrosły. Jego uwagę zwróciła także oddarta nalepka na zderzaku toyoty; właściwie pozostało z niej tylko jedno słowo: „dziedzictwo”. Chris widział już takie nalepki i pamiętał, że cały napis brzmiał: „Marnotrawimy dziedzictwo naszych wnuków”. Właśnie, może powinniśmy skorzystać z pieniędzy spadkowych, pomyślał.

-1 mój tata powiedział...

Chris z trudem oderwał się od rozmyślań o samochodzie. Deidre jest sympatyczna, ale zdecydowanie za dużo mówi. Wyciągnął rękę po torbę, którą mu podawała, ale dziewczyna wca-

le nie miała zamiaru skończyć opowieści o tym, jak jej ojciec docinał matce mówiąc, że powinna nazywać się Filomena.

- Przed laty moja ciotka pracowała w Southampton i należała do parafii świętej Filomeny. Gdy okazało się, że muszą zmienić wezwanie, pastor urządził konkurs na patrona. Moja ciotka zaproponowała wtedy świętą Dymphna, ponieważ była ona opiekunką chorych psychicznie, a w parafii było wielu niedorozwiniętych.

- Tak się składa, że ja też noszę imię po świętym Krzysztofie - przyznał się Chris, starając się odebrać zamówione jedzenie. - Wesółych świąt, Deidre.

- Chyba Boże Narodzenie zacznie się wcześniej niż uda mi się skosztować big maca - narzekał jadąc w stronę Thruwaya. Prowadząc samochód jedną ręką, sięgnął do papierowej torby, wyjął hamburgera i z ulgą zatopił w nim zęby. Z kawą może poczekać, aż dojedzie do swojego posterunku.

Służbę skończy o północy, a potem - rozmarzony uśmiechnął się do własnych myśli - nareszcie będzie czas na odpoczynek. Eileen na pewno postara się utrzymać dzieciaki w łózkach przynajmniej do szóstej rano. Ale znając swoich synów Chris nie sądził, żeby jej się to udało. W zeszłym roku także nic z tego nie wyszło.

Skierował samochód na wydzielone przy autostradzie miejsce służące do zmiany kierunku jazdy, z którego miał obserwować kierowców i wyłapywać tych nie przestrzegających przepisów ruchu. Wigilia to na szczęście nie sylwester, kiedy na drodze pełno jest podchmielonych automobilistów. Chris miał zasady i nie przepuszczał nikomu jadącemu z nadmierną prędkością lub zygzakiem. Za dużo widział w swoim życiu wypadków spowodowanych przez pijanych kierowców, którzy przez głupotę zmieniali życie niewinnych ludzi w koszmar. Nie dopuści do tego, aby coś podobnego zdarzyło się dzisiejszej nocy na jego odcinku. Zdjął wieczko z kubka z kawą, ale zamiast się napić, zmarszczył brwi. Tuż obok przemknęła corvetta jadąca co najmniej



osiemdziesiąt mil na godzinę po niewłaściwym pasie. Chris włączył koguta i uruchomił syrenę. Wcisnął pedał gazu i ruszył w pościg.

\*\*\*

Wydawało się, że Bud Folney z umiarkowanym zainteresowaniem słucha, jak Cally Hunter drżącym głosem opowiada Levy'emu o okolicznościach znalezienia portfela na Piątej Alei.

- Nie mogłam z tym dłużej zwlekać - powiedziała, ledwie weszli.

Folney znał szczegóły jej sprawy: starsza siostra Jimmy'ego Siddonsa, skazana na piętnaście miesięcy więzienia, ponieważ sąd nie dał wiary jej zeznaniom, iż pomagała bratu w ucieczce tylko dlatego, że uwierzyła w jego opowieść o gangsterskich porachunkach. Levy powiedział mu wcześniej, że Cally Hunter to jedna z ciężko doświadczonych przez życie istot ludzkich - była wychowywana przez staruszkę babcię, która zmarła, gdy Cally była jeszcze dzieckiem, pozostawiając ją ze zdradzającym już wtedy oznaki zdemoralizowania młodszym bratem; musiała się nim opiekować. Potem, będąc w ciąży, przeżyła prawdziwą tragedię: jej mąż zginął potrącony na ulicy przez samochód, którego kierowca zbiegł z miejsca wypadku.

Ma jakieś trzydzieści lat, pomyślał Folney, i byłaby całkiem ładna, gdyby trochę przytyła. Na jej twarzy malował się niepokój, jaki widywał u innych kobiet wypuszczonych z więzienia i żyjących w ciągłym strachu, że mogą tam jeszcze kiedyś wrócić.

Rozejrzał się po pokoju. Zadbane, jasne wnętrza, spękane ściany pomalowane na żółto, ślicznie udekorowana, niewielka choinka, nowiutka pościel w sfatygowanym wózku dla lalek - to wszystko pomagało mu wyrobić własną opinię o Cally Hunter.

Folney wiedział, że podobnie jak on sam, Mort Levy nie może się doczekać, aby poznać odpowiedź na pytanie, co łączy Jimmy'ego Siddonsa z zaginionym Brianem Dornanem. Z uznaniem obserwował sposób, w jaki detektyw prowadził

przesłuchanie. Pozwalał Cally, aby opowiedziała im wszystko w sposób najmniej dla niej bolesny. Dobrze, że nie przyprawiliśmy tu tego szarżującego byka, pomyślał Folney. Jack Shore był dobrym detektywem, ale szorstki, niemal agresywny sposób bycia, jakim się odznaczał, jego także czasem wyprowadza! z równowagi.

Hunter opowiadała o tym, jak znalazła na chodniku portfel.

- Podniosłam go zupełnie bezmyślnie. Domyślałam się, że należał do tej kobiety, ale nie byłam pewna na sto procent. Naprawdę nie byłam tego pewna - mówiła histerycznym tonem - a poza tym bałam się, że jak jej oddam, może mi zarzucić, że coś z niego zginęło. Tak było kiedyś z moją babcią. A wtedy moglibyście mnie znowu posłać do więzienia i...

- Cally, uspokój się - powiedział Mort. - Co stało się później?

Opowiedziała im o tym, jak w mieszkaniu czekał na nią Jimmy, ubrany w rzeczy jej nieżyjącego męża. Wskazała ręką na duże pudło pod choinką.

- Jest tam mundur strażnika i jakiś płaszcz - wyjaśniła. - To jedyne miejsce, gdzie mogłam je przed wami ukryć.

Tak, to właśnie to, pomyślał Mort. Gdy po raz drugi był w tym mieszkaniu, zauważył pewną zmianę w garderobie. Brakowało pudła na najwyższej półce i marynarki w szafie.

Cally przerywanym głosem opowiadała o tym, jak Jimmy złapał Briana i zagroził jej, że zabije dziecko, gdy tylko zauważy, że ściga ich policja.

- Jak myślisz, Cally, czy można Jimmy'emu wierzyć, że uwolni Briana? - zapytał Levy.

- Chciałam w to wierzyć - powiedziała bezbarwnym głosem. - Tak właśnie myślałam, decydując się nie informować was o niczym. Wiem jednak, że mój brat jest zdecydowany na wszystko. Jimmy robi wszystko, byle nie znaleźć się ponownie w więzieniu.

- Czemu więc zdecydowałaś się do nas zadzwonić? - odezwał się wreszcie Folney.

- Zobaczyłam w telewizji matkę Briana i pomyślałam, że gdyby Jimmy porwał Gigi, natychmiast zwróciłabym się do was o pomoc. - Cally splotła nerwowo dłonie. Lekko pochyliła się do przodu i zastygła w pozie bólu. - Wspomnienie twarzy tego chłopca, sposób, w jaki wkładał na szyję medalion i ścisnął go w dłoni, jakby miał uratować mu życie... Pomyślałam, że jeżeli coś mu się stanie, to będzie moja wina.

Rozległ się dzwonek domofonu.

Jeśli to Shore... pomyślał Folney podrywając się, aby otworzyć drzwi. To była Aika Banks. Gdy weszła do mieszkania, obrzuciła policjantów podejrzliwym spojrzeniem, a następnie podbiegła do Cally i objęła ją ramieniem.

- Co się dzieje, kochanie? Czy stało się coś złego? Dlaczego chcesz, abym została z Gigi? Co tu robią ci ludzie?

Cally zatrzęsała się ze strachu.

Aika podwinęła rękaw jej bluzki. Siniaki, jakie pozostawił na jej ciele Jimmy, były teraz ciemnopurpurowe. Jeżeli Bud Folney miał jeszcze jakieś wątpliwości co do jej udziału w zorganizowaniu ucieczki brata, teraz zniknęły bez śladu. Podeszedł do Cally i spojrzał jej w oczy.

-Cally, nie będziesz miała żadnych kłopotów. Obiecuję ci. Wierzę, że znalazłaś ten portfel. Wierzę też, że nie wiedziałaś, co robić w tej sytuacji. Ale teraz musisz nam pomóc. Czy domyślasz się, dokąd Jimmy pojechał?

\*\*\*

Dziesięć minut później detektywi opuścili mieszkanie Cally; Levy dźwigał opakowane w ozdobny papier pudło z mundurem strażnika więziennego.

Shore dołączył do nich w wozie patrolowym i natychmiast zasypał pytaniami. Gdy dojeżdżali do centrum miasta, wszyscy trzej byli zgodni co do tego, że Siddons najprawdopodobniej ucieka do Kanady i że na tym założeniu należy oprzeć poszukiwania.

- Musi mieć samochód - stwierdził stanowczo Folney. - Nie wyobrażam sobie, żeby z dzieciakiem uciekał transportem publicznym.

Cally powiedziała im, że Jimmy już jako dwunastolatek potrafił uruchomić i ukraść każdy samochód. Była pewna, że tym razem znalazł sobie wóz gdzieś niedaleko jej domu.

- Przypuszczam, że Siddons wyjechał ze stanu Nowy Jork naj -szybciej jak tylko mógł - mówił dalej Folney. - A to by znaczyło, że jedzie w stronę granicy kanadyjskiej przez Nową Anglię. Mógł pojechać Thruwayem do trasy 187. To najszybsza droga.

Postanowili poważnie potraktować zapewnienia Cally, że Jimmy nie da wzięć się żywcem, a w razie czego zabije zakładnika.

Tak więc mieli do czynienia ze zbiegłym mordercą, który ucieka z porwanym dzieckiem, prawdopodobnie jadąc skradzionym samochodem nie znanej marki, być może kieruje się na północ ku granicy z Kanadą, a pościg utrudnia jeszcze szalejąca śnieżycą. Siddons jest wystarczająco inteligentny, aby nie ściągnąć na siebie uwagi policji drogowej jakimś głupim wykroczeniem. Przejścia graniczne zaś są w Wigilię wyjątkowo zatłoczone. Folney podyktował komunikat, który rozesłano do jednostek policji na terenie Nowej Anglii i Nowego Jorku. Ostrzegał w nim, że uciekinier groził zabiciem zakładnika.

Obliczyli, że jeśli Siddons opuścił mieszkanie Cally kilka minut po osiemnastej, mógł przebyć już jakieś dwieście - trzysta mil. Komunikat rozesłany do wszystkich posterunków policji zawierał także ważną informację podaną im przez Cally: „Dziecko może mieć zawieszony na szyi medalion z wizerunkiem świętego Krzysztofa, wielkości srebrnego dolara”.

Pete Cruise widział, jak po dwudziestu minutach z domu, w którym mieszkała Cally, wyszło dwóch detektywów. Zauważył, że Levy niósł jakieś pudło. Shore wyskoczył na ich widok z furgonetki i wszyscy wsiedli do wozu policyjnego.

Tym razem Pete miał lepszy punkt obserwacyjny i widząc, kim jest trzeci mężczyzna, aż gwizdnął ze zdumienia. Bud Folney, szef detektywów i być może następny komisarz nowojorskiej policji. Coś się szykowało. Coś ważnego.

Policyjny samochód odjechał, błyskając światłem na dachu. Kilka domów dalej włączyli też syrenę. Pete siedział przez chwilę przy kierownicy zastanawiając się, co robić dalej. Policjanci z furgonetki zapewne zatrzymają go, gdyby próbował wejść do domu Cally. Tu zaś niewątpliwie działo się coś ważnego, a on za wszelką cenę musiał się dowiedzieć, co.

Właśnie zastanawiał się, czy w budynku nie ma jakiegoś tylnego wejścia, gdy nagle zauważył wychodzącą na ulicę kobietę, która opiekowała się córeczką Cally. W mgnieniu oka wyskoczył z samochodu i poszedł za nią. Zrównał się z nią za rogiem, gdy zniknęli z pola widzenia siedzących w furgonetce policjantów.

- Jestem detektyw Cruise - przedstawił się. - Dostałem polecenie, aby odprowadzić panią do domu. Jak się czuje Cally?

- Biedna dziewczyna - zaczęła Aika. - Proszę pana, musicie jej uwierzyć. Ona naprawdę myślała, że dobrze robi, nie informując was o porwaniu tego chłopca przez jej brata...

Pomimo ogromnego głodu Brian nie mógł przełknąć ani kęsa hamburgera. Miał wrażenie, że coś tkwi mu w gardle. Wiedział, że to z powodu Jimmy'ego. Wypił duży łyk coca coli i zaczął sobie wyobrażać, jak tata ukarze tego człowieka za to, że był dla niego taki okrutny.

Ale ledwie pomyślał o ojcu, przypomniał sobie plany, jakie robili na tegoroczną Wigilię. Tata obiecał, że wróci wcześniej z pracy i razem ubiorą choinkę. Potem rodzinny obiad w restauracji i spacer z przyjaciółmi po okolicy, w czasie którego mieli wspólnie śpiewać kolędy. Tylko o tym mógł teraz myśleć. To było coś, czego pragnął najgoręcej: być w domu z tatą i mamą i śmiać się, jak zawsze, gdy byli wszyscy razem. Gdy przyjechali do Nowego Jorku

w związku z chorobą ojca, mama powiedziała jemu i Michaelowi, że ich prawdziwe prezenty, te, o których naprawdę marzą, czekają na nich w domu. Powiedziała, że Święty Mikołaj zatrzyma prezenty na swoich saniach aż do czasu, gdy wrócą do domu.

Michael burknął wtedy pod nosem: „Akurat! ”, ale Brian wierzył w Świętego Mikołaja. Rok temu tata pokazywał mu ślady na dachu garażu, gdzie stały sanie i renifery. Co prawda Michael powiedział potem, że słyszał, jak mama mówiła tacie, jakie miał szczęście, że nie spadł z oblodzonego dachu i nie złamał sobie karku, gdy robił te ślady, ale on nie przejmuje się tym, co mówi jego brat, ponieważ i tak mu nie wierzy. Tak samo nie dba o to, że Michael nazywa go czasami matołkiem; on wie, że tak nie jest.

Czuł, że jest z nim naprawdę źle, skoro chciałby, aby jego nieznośny brat, który naprawdę potrafił mu dokuczyć, był tu razem z nim.

Ledwo Brianowi udało się przewyciężyć uczucie dławienia w gardle, gdy opakowanie z hamburgerem o mały włos nie wyleciało mu z ręki. To Jimmy gwałtownie zmienił pas, klnąc przy tym szpetnie. Właśnie minął wóz patrolowy, jadący za jakimś sportowym samochodem. Gdy zobaczył policyjne oznakowania, oblał go zimny pot i jak szalony ruszył do przodu. Zaczynał tracić zimną krew.

Wyczuwając rozdrażnienie Jimmy'ego, Brian schował nietkniętego hamburgera i picie z powrotem do torby i poruszając się bardzo wolno, aby Jimmy mógł się zorientować, co zamierza zrobić, pochylił się i położył torbę na podłodze. Następnie usiadł prosto, oparł się o fotel i skrzyżował ręce na ramionach. Po chwili palcami prawej ręki namacał medalion, który leżał obok niego na siedzeniu, pozostawiony tam, gdy otwierał torbę zjedzeniem, i schował go w dłoni.

Z uczuciem ulgi zacisnął na nim palce, mając przed oczami potężną postać świętego Krzysztofa, przenoszącego małego chłopczyka przez rwącą rzekę, czuwającego nad bezpieczeństwem jego dziadka, mogącego sprawić, że jego tata wyzdrowieje i... Brian zamknął oczy...

Barbara Cavanaugh czekała na Catherine i Michaela w zielonej sali stacji telewizyjnej Fox 5.

- Byliście wspaniali - powiedziała, a potem, spojrzawszy na twarz córki, dodała: - Catherine, proszę, wróć do domu. Policja poinformuje cię, gdy tylko pojawią się jakieś nowe wiadomości o Brianie. Boże, wyglądasz, jakbyś miała za chwilę zemdleć.

- Nie mogę, mam - zaproponowała Catherine. - Wiem, że to niemądre tak wyczekiwać na Piątej Alei. Brian sam tam raczej nie wróci, ale kiedy jestem w mieście, mam przynajmniej wrażenie, że coś robię, aby go znaleźć. Nie wiem, jak ci to wyjaśnić, ale chodzi mi o to, że gdy wychodziłam z mieszkania, miałam przy sobie obu moich synów i postanowiłam, że wrócę dopiero wtedy, gdy oni obaj znów będą ze mną. Słyszając jej słowa Ann Winick podjęła szybką decyzję.

- Pani Dornan, czemu nie miałyby pani zostać tutaj, przynajmniej przez jakiś czas? Ten pokój jest całkiem wygodny. Poślę kogoś po ciepłą zupę, kanapki, co tylko sobie życzycie. Sama pani powiedziała, że nie ma sensu czekać bez końca na Piątej Alei.

- Ale czy policja znajdzie mnie tutaj? - zawahała się Catherine. Winick wskazała na aparat telefoniczny.

- Bez problemu. A teraz powiedzcie, co dla was zamówić? Dwadzieścia minut później Catherine, jej matka i Michael popijali małymi łydkami parującą minestrone, spoglądając na

ekran telewizyjny w zielonej sali. Podawano informację o Mario Bonardim, postrzelonym strażniku więziennym. Jego stan był nadal krytyczny, ale ustabilizowany.

Reporter znajdował się w szpitalu, w poczekalni oddziału intensywnej terapii, i rozmawiał z żoną i nastoletnimi dziećmi Bonardiego. Półżywa ze zmęczenia kobieta, poproszona o wypowiedź, powiedziała:

-Mój mąż wyjdzie z tego. Chcę podziękować wszystkim, którzy się dzisiaj modlili za niego. Nasza rodzina przeżyła wiele wspaniałych świąt Bożego Narodzenia, ale to będzie najpiękniejsze, bo nagle zdaliśmy sobie sprawę, jak wiele mogliśmy utracić.

— My też tak będziemy mówić, Michael - powiedziała Catherine stanowczym tonem. - Tata wyzdrowieje, a Brian się znajdzie.

Reporter przeprowadzający rozmowę z rodziną Bonardi zwrócił się do spikera w studiu:

— Tony, to na razie wszystko, spotkamy się podczas następnego serwisu.

— Dziękujemy, Ted. To wspaniałe wiadomości. Właśnie takie chcemy przekazywać naszym telewidzom w Wigilię. - Przerwał na moment, na jego twarzy pojawił się wyraz szczególnej powagi. — Wciąż nie natrafiono na ślad napastnika, który postrzelił Mario Bonardiego. Jest nim Jimmy Siddons, uciekinier z aresztu śledczego, oskarżony o zabójstwo policjanta. Źródła policyjne donoszą, że jedzie prawdopodobnie do Meksyku, gdzie zamierza się spotkać ze swoją przyjaciółką, Paige Laron-de. Zarządzono obserwację lotnisk, dworców kolejowych i autobusowych. Prawie trzy lata temu Siddons w trakcie ucieczki po napadzie z bronią w rękę ranił śmiertelnie policjanta Williama Grasso, który próbował go zatrzymać za naruszenie przepisów ruchu drogowego. Wiadomo, że Siddons jest uzbrojony i niezwykle niebezpieczny. Podczas gdy spiker czytał komunikat, na ekranie pojawiła się na chwilę fotografia Siddonsa.



- Wygląda bardzo groźnie - powiedział Michael, wpatrując się w zimne oczy i nieprzyjemnie wykrzywione usta zbiegłego więźnia.

- Z pewnością - zgodziła się Barbara Cavanaugh. Spojrzała na twarz wnuczka. - Mike, a może zamkniesz oczy i zdrzemniesz się przez chwilkę?

- Nie chcę iść spać - odpowiedział stanowczo chłopiec. Podawano kolejne wiadomości.

- W chwili obecnej nie posiadamy jeszcze żadnych informacji o losie siedmioletniego Briana Dornana, który zaginął dzisiaj około godziny siedemnastej. W ten wigilijny wieczór prosimy was jeszcze raz: módlcie się, aby Brian powrócił szczęśliwie do swojej rodziny i życzymy wam wszystkim i tym, których kochacie, wesołych świąt.

Już za godzinę będzie Boże Narodzenie, pomyślała Catherine. Brian, musisz wrócić, muszą cię znaleźć. Jutro rano musisz być z nami, gdy pójdziemy odwiedzić tatę. Brian, wróć. Błagam, wróć do nas.

Drzwi zielonej sali otworzyły się. Pani Winick wprowadziła wysokiego mężczyznę około pięćdziesiątki, za którym wszedł posterunkowy Manuel Ortiz.

- Detektyw Rhodes chce z panią porozmawiać, pani Dornan - poinformowała ją producentka. - Będę na zewnątrz, gdyby mnie pani potrzebowała.

Catherine wydawało się, że obaj mężczyźni mają ponure twarze i przyszli oznajmić jej jakąś straszną nowinę. Sparaliżował ją strach. Nie potrafiła się odezwać ani poruszyć.

Posterunkowy Ortiz natychmiast zrozumiał, co się dzieje i pospieszył ją uspokoić.

- Nie, proszę pani, to nie to, o czym pani myśli. Detektyw Rhodes natychmiast dołączył się do wyjaśnień.

- Przychodzę z biura. Mamy informację o Brianie, ale proszę pozwolić mi zacząć od wiadomości, że wszystko wskazuje na to, że pani syn jest cały i zdrowy.

- Gdzie on jest? - zawołał Michael. - Gdzie jest mój brat?

Catherine bez słowa wysłuchiwała opowieści detektywa Rho-desa o młodej kobiecie, siostrze zbiegłego więźnia Jimmy'ego Siddonsa, która podniosła jej portfel. Z całych sił broniła się przed przyjęciem do wiadomości faktu, że jej synek został uprowadzony przez mordercę, którego twarz przed kilkoma minutami oglądała na ekranie telewizora. Nie, pomyślała, to nie może być prawda.

Wskazała ręką na telewizor.

- Przed chwilą powiedzieli, że ten człowiek jest prawdopodobnie w drodze do Meksyku. Brian zaginał sześć godzin temu. Może więc jest już w Meksyku.

- Nie daliśmy się nabrać na tę historię - wyjaśnił jej Rhodes. -

Podejrzewamy, że Siddons zmierza w stronę granicy z Kanadą, prawdopodobnie poruszając się skradzionym samochodem.

Zarządziliśmy poszukiwania na tej trasie.

Nagle Catherine opuściły wszelkie emocje. Czowała się tak jak wtedy, gdy była w izbie przyjęć i zrobiono jej zastrzyk z demerolu, po którym cały ból natychmiast ustąpił. I mogła spojrzeć na Toma, który puścił do niej oko. Tom, zawsze przy niej. „Czujesz się już lepiej, kochanie?”, zapytał. I nagle jej umysł, już bez spowijających go oparów bólu, stał się jasny. Podobnie poczuła się właśnie teraz.

- Jakim samochodem jadą? - zapytała.

Rhodes wyglądał na zakłopotanego tym pytaniem.

- Niestety, nie wiemy - odparł. - Domyślamy się tylko, że poruszają się autem, właściwie mamy prawie pewność, że tak jest. Postawiliśmy na nogi wszystkie patrole drogowe na terenie stanów Nowy Jork i Nowa Anglia, które szukają mężczyzny podróżującego z chłopcem noszącym na szyi medalion ze świętym Krzysztofem.

- To Brian nosi ten medalion? - wykrzyknął Michael. - A więc nic mu się nie stanie. Babciu, powiedz mamie, że święty Krzysztof ocali Briana, tak jak ocalił dziadka.

- Uzbrojony i niebezpieczny - bezwiednie powtórzyła Catherine.

- Pani Dornan - pospieszył z wyjaśnieniami Rhodes. - Jeśli Siddons znajduje się w samochodzie, słucha prawdopodobnie radia. To inteligentny człowiek. Gdy dowie się, że strażnik więzienny ma szansę przeżyć, zrozumie, że nie grozi mu kara śmierci. Trzy lata temu, gdy zamordował policjanta, najwyższa kara nie była jeszcze przywrócona. A poza tym powiedział siostrze, że jutro uwolni chłopca.

Jej umysł był taki jasny.

- Ale nie wierzycie w to, prawda?

Nie potrzebowała nawet patrzeć na jego twarz, aby upewnić się, że detektyw Rhodes wcale nie wierzy zapewnieniom Cally o zwolnieniu Briana.

- Proszę pani, jeśli jest tak jak myślimy, i Siddons zmierza ku granicy z Kanadą, nie dojedzie tam wcześniej niż za trzy, może nawet cztery godziny. Chociaż śnieg nie pada na całej trasie, drogi są wciąż trudno przejezdne. Nie może poruszać się szybko, a poza tym nie wie, że my wiemy o chłopcu. Media mają zakaz podawania wiadomości o tym, że został przez niego uprowadzony. Siddons wciąż go potrzebuje jako tarczy ochronnej, przynajmniej do granicy. A zanim ją przekroczy, złapiemy go. Telewizor wciąż był włączony, chociaż grał bardzo cicho. Catherine siedziała tyłem do ekranu. Widziała jak twarz detektywa Rhodesa gwałtownie się zmienia pod wpływem treści podawanego właśnie komunikatu:

- Przerwywamy program, aby podać najświeższe wiadomości. Stacja radiowa WYME poinformowała przed chwilą, że siedmioletni Brian Dornan, chłopiec, który zaginął dzisiejszego popołudnia, znajduje się w rękach zbiegłego mordercy, Jimmy'ego Siddonsa. Powiedział on swojej siostrze, że jeśli policja będzie mu deptać po piętach, zastrzeli dziecko. Więcej informacji podamy państwu później.

Po wyjściu Aiki Cally zrobiła sobie herbatę, położyła się do łóżka i włączyła telewizor, pozostawiając jednak tylko wizję. W ten sposób nie przegapię wiadomości, pomyślała. Nastawiła też bardzo cicho radio na stację, która nadawała kolędy.

„Za anielskim głosem pieniem...”

Czy pamiętam jeszcze chwile, gdy śpiewaliśmy to razem z Frankiem pięć lat temu przy ubieraniu choinki?

Pięć lat temu. Ich jedyne wspólne święta Bożego Narodzenia. Właśnie dowiedzieli się, że jest w ciąży. Pamięta jeszcze, jakie wtedy robili plany.

„W przyszłym roku będziemy mieli pomoc przy ubieraniu drzewka” - powiedział Frank.

„Rzeczywiście. Trzymiesięczne dziecko to olbrzymia pomoc” - odparła śmiejąc się.

Pamięta też, jak Frank podniósł ją w górę, aby mogła zawiesić gwiazdę na czubku drzewka.

Dlaczego wszystko tak źle się potoczyło? Nie było już kolejnego wspólnego roku. Tydzień później Frank zginął na miejscu potrącony przez samochód, którego kierowca zbiegł z miejsca wypadku. Właśnie wracał do domu ze sklepu, gdzie poszedł kupić karton mleka.

Mieliśmy tak mało czasu, pomyślała Cally, potrząsając ze smutkiem głową. Czasami wydawało się jej, że te kilka miesi-

cy, które spędzili razem, to byt po prostu piękny sen, Tak bardzo odlegle wydaje jej się teraz to wszystko.

„... głosi dziś całemu światu odpuszczenie win”.

Czy to możliwe, że jeszcze wczoraj życie wydawało mi się takie przyjemne? zastanawiała się Cally. Administrator szpitala powiedział jej: „Cally, wszyscy bardzo wysoko oceniają twoją pracę. Mówią, że jesteś urodzoną pielęgniarką. Czy nie myślałaś, żeby pójść do szkoły?”. A potem wspomniał jeszcze o stypendium i powiedział, co powinna zrobić, aby je otrzymać.

Ale co z tym chłopczykiem, zaniepokoiła się. Boże, nie pozwól, aby Jimmy go skrzywdził. Powinnam była natychmiast powiadomić o wszystkim detektywa Levy ego. Wiem, że tak właśnie powinnam zrobić. Czemu więc zwlekałam tak długo?

Wstała i poszła popatrzeć na Gigi. Oczywiście, malutka jak zwykle się odkryła. Co noc jest to samo, nawet gdy w pokoju jest zimno.

Cally dokładnie otuliła córeczkę, wsuwając delikatnie pod kołdrę jej stopkę. Gigi poruszyła się niespokojnie.

- Mamusiu - powiedziała przez sen. -Jestem tutaj, kochanie.

Wróciła do pokoju akurat w momencie, gdy rozpoczynały się wiadomości. Podbiegła do telewizora i włączyła fonię.

- Nie! Nie! - szepnęła słysząc, jak spiker mówi, że policja otrzymała informację, według której zaginiony chłopiec porwany został przez Jimmy'ego Siddonsa, zbiegłego z więzienia mordercę.

Policja na pewno mnie oskarży o przekazanie tej informacji, pomyślała załamana Cally. Dla nich będzie jasne, że to ja się przed kimś wygadałam.

W tym momencie zadzwonił telefon. Gdy podniosła słuchawkę i usłyszała głos detektywa Morta Levy ego, hamowane emocje nagle znalazły upust.

- Nie zrobiłam tego - załkała. - Nikomu nie powiedziałam. Przysięgam, przysięgam, że nikomu nie powiedziałam.

\*\*\*

Jimmy, obserwując jak pierś Briana równomierne unosi się i opada, zrozumiał, że jego zakładnik usnął. To dobrze, pomyślał, dla mnie lepiej. Najgorsze, że dzieciak okazał się inteligentny. Na tyle, aby wykombinować, że jeśli wyskoczy z samochodu na pas awaryjny, nie dostanie się pod koła innego auta. Gdyby tamtego palanta tak nie zarzuciło, byłoby już po mnie. Szczeniak zdołałby wyskoczyć i patrol z całą pewnością siedziałby mi już na ogonie.

Minęła dwudziesta trzecia. Nic dziwnego, że mały był zmęczony. Jak dobrze pójdzie, ma przed sobą jeszcze trochę snu. Mimo ciężkich warunków jazdy powinni dojechać do granicy za parę godzin. Będzie jeszcze wystarczająco ciemno, pomyślał z zadowoleniem Jimmy.

Wiedział, że może ufać Paige, która miała na niego czekać w Kanadzie. Umówili się w lesie, jakieś trzy mile od przejścia granicznego.

Jimmy zastanawiał się, gdzie najlepiej ukryć toyotę. Samochód nie będzie mu już potrzebny i powinien się go pozbyć, gdy tylko usunie z niego odciski palców. Może wpakować go do jakiejś rozpadliny.

Mógł to załatwić także w inny sposób... Pomyślał o Niagara River, która płynęła wzdłuż granicy. To bystra rzeka, nie powinna zamarznąć. Jeżeli będzie miał trochę szczęścia, samochód może nigdy nie wypłynąć na powierzchnię.

A co z dzieciakiem? Chociaż Jimmy postawił tę kwestię, w formie pytania, doskonale wiedział, że nie może ryzykować. Nie może dopuścić do tego, aby chłopiec został znaleziony blisko granicy i opowiedział o nim policji.

Paige powiedziała przyjaciółom, że jedzie do Meksyku.

Przykro mi mały, pomyślał Jimmy. Wolę, aby gliny tam właśnie mnie szukały.

Zastanowił się przez chwilę, a następnie uznał, że rzeka będzie najlepszą kryjówką i dla samochodu, i dla dziecka.

Po podjęciu tej decyzji Jimmy poczuł, jak opada z niego napięcie. Z każdą milą czuł wyraźniej, że tym razem mu się uda, że Kanada, Paige i wolność są na wyciągnięcie ręki. I z każdą

miłą nabierał większej pewności, że nic i nikt nie pokrzyżuje mu planów. Nie będzie tak, jak ostatnim razem. Wziął samochód Caliy, sto dolarów i ruszył w stronę Kalifornii. I wtedy przejechał jakieś parszywe czerwone światła na Dziewiątej Alei i został zmuszony do zatrzymania wozu.

Gliniarz, facet około trzydziestki, jeden z tych ważniaków. Podszedł do okienka kierowcy i powiedział z kpina w głosie: „Prawo jazdy i dowód rejestracyjny, proszę”.

Gdybym pokazał te papiery, wszystko byłoby jasne od razu, pomyślał Jimmy przypominając sobie tę sytuację tak wyraźnie, jakby miała miejsce wczoraj.

Prawo jazdy były wydane na nazwisko Siddons, Jimmy Sid-dons. Nie miał wyboru. Ten gliniarz z miejsca by go aresztował. Sięgnął więc do kieszeni na piersi, wyciągnął pistolet i strzelił. Zanim jeszcze ciało policjanta dotknęło ziemi, wyskoczył z samochodu i zmieszał się z tłumem koło dworca autobusowego. Błyskawicznie przeleciał wzrokiem rozkład jazdy i pobiegł kupić bilet na autobus, który za trzy minuty ruszał do Detroit.

To była szczęśliwa decyzja. Już pierwszej nocy spotkał Paige.

Wprowadził się do niej, załatwił sobie fałszywe dokumenty i znalazł pracę w jakiejś firmie ubezpieczeniowej. Przez krótki okres on i Paige żyli nawet całkiem normalnie. Jedyne ich kłótnie zdarzały się wtedy, gdy wściekał się na nią za sposób, w jaki zachęcała facetów, żeby podchodzili do niej, kiedy się rozbierała. Wytłumaczyła mu jednak, że to była jej praca, że miała za zadanie prowokować ich, aby do niej podchodzili. Tak naprawdę właśnie wtedy po raz pierwszy w życiu coś mu się zaczęło układać. Aż do momentu, gdy okazał się na tyle głupi, aby napaść na stację benzynową bez przygotowania akcji.

Nagły poślizg, na szczęście niegroźny, przerwał te wspomnienia. Jimmy skupił uwagę na pokrytej śniegiem szosie. Całe szczęście, że mam zimowe opony, pomyślał. Przypomniał sobie parę, której ukradł auto - co ten facet powiedział wtedy żonie? Ze nie może się już doczekać, aby zobaczyć wyraz twarzy Bobby'ego? Tak, coś w tym guście, pokiwał głową Jimmy,

uśmiechając się złośliwie i wyobrażając sobie ich miny, gdy znajdą na parkingu puste miejsce po swojej toyocie, albo, co bardziej prawdopodobne, stojące tam inne auto.

Radio w samochodzie było cały czas cicho włączone. Nastawił je na lokalną stację, aby słuchać prognozy pogody. W pewnym momencie pojawiły się silne zakłócenia i głos zaczął zanikać. Jimmy niecierpliwie kręcił gałką, aż znalazł na tym samym paśmie inną stację. Nagle zdrewniał, słysząc słowa spikera:

-Policja niechętnie potwierdziła informację podaną przez stację WYME, że siedmioletni Brian Dornan, który zaginął dzisiejszego popołudnia około godziny siedemnastej, dostał się w ręce podejrzanego o morderstwo Jimmy'ego Siddonsa, który prawdopodobnie zmierza w chwili obecnej w stronę granicy z Kanadą.

Jimmy zaklął siarczyście i wyłączył radio.

Cally. To ona musiała powiadomić gliny. Na Thruwayu jest już prawdopodobnie pełno policji, wszyscy szukają mnie i dzieciaka. A tu w okolicy jest już pewnie z tuzin nie oznakowanych wozów patrolowych, pomyślał.

Spokojnie. Muszę zachować spokój, upominał sam siebie.

Przecież nie wiedzą, jakim jedzie samochodem. Nie będzie na tyle głupi, aby przekroczyć dozwoloną prędkość, będzie jechał tak, aby nie zwrócić na siebie niczyjej uwagi.

Teraz największym problemem był dzieciak. Trzeba natychmiast się go pozbyć. Błyskawicznie ocenił sytuację, zastanawiając się, co może zrobić. Może zjechać z autostrady na następnym zjeździe, załatwić małego, pozbyć się szybko ciała i wrócić na autostradę.

Spojrzał na śpiącego chłopca.

Niedobrze, mały, ale nic nie mogę dla ciebie zrobić, pomyślał.

Po prawej stronie drogi zauważył znak informujący, że niedługo będzie zjazd.

Teraz, postanowił, muszę zrobić to teraz.

Brian zaczął się wiercić, jakby zaraz miał się obudzić, ale po chwili się uspokoił.



Al Rhodes zobaczył przerażenie na twarzy Catherine Dornan, gdy zdała sobie sprawę, jakie niebezpieczeństwo grozi jej synkowi w rękach Jimmyego Siddonsa. Widział, jak nagle zamknęła oczy i był gotów ją podtrzymać, gdyby zemdląca. Ale Catherine już po chwili zapanowała nad sobą i tylko mocniej przytuliła do siebie starszego syna.

- Nie zapominajmy, że Brian ma przy sobie medalion ze świętym Krzysztofem - powiedziała cicho.

Maska dojrzałego opanowania, a nawet pewnej zuchowatości, jaką Michael przybierał przez cały ten koszmarne wieczór, zaczynała się kruszyć.

- Nie chcę, aby Brianowi stało się coś złego - zapłakał. Catherine potrząsnęła głową.

- Nic mu się nie stanie - powiedziała spokojnym głosem. - Musisz w to uwierzyć i trwać przy tym.

Rhodes widział, ile wysiłku wkładała w to, aby mówić tak spokojnie. Kto, do diabła, podał mediom informację, że Brian został porwany przez Jimmyego Siddonsa, zastanawiał się, wściekły. Czuł, jak świerzbi go ręka, żeby przyłożyć temu kretynowi, który tak bezmyślnie narażał życie dziecka. Przecież jeżeli Siddons słucha radia, to pierwszą rzeczą, jaką zrobi po otrzymaniu takiej informacji, będzie pozbycie się chłopca.

- Mamo, pamiętasz jak tatuś opowiadał nam o pewnej Wigi-

lii, którą spędził podczas wojny, gdy miał dwadzieścia dwa lata? Właśnie toczyła się bitwa o miasteczko Bulge, a on wziął kilku kolegów do osady na tyłach linii frontu? - zapytała Catherine. -Może opowiedziałabyś o tym Michaelowi? Matka chętnie podjęła temat.

- Poszli, bo doniesiono, że pojawiły się tam oddziały wroga, co zresztą okazało się nieprawdą. W drodze powrotnej przechodzili obok wiejskiego kościółka. Właśnie zaczęła się pasterka. Widzieli, że kościół był pełny wiernych. Mimo koszmaru wojny i ciągłego strachu o życie, ludzie tłumnie przyszedli na mszę. Śpiewali kolędę „Cicha noc”, a ich głosy rozbrzmiewały echem na pobliskim placu. Twój dziadek powiedział mi potem, że był to najpiękniejszy śpiew, jaki słyszał w życiu.

Barbara Cavanaugh uśmiechnęła się do wnuczka.

- Żołnierze weszli do tego kościoła. Dziadek mówił, że dopóki nie zobaczyli wiary i męstwa tych ludzi uczestniczących w mszy, on i jego koledzy bali się tej wojny. Mieszkańcy pobliskiej okolicy przyszedli, aby wspólnie się pomodlić, nie zważając na toczące się w pobliżu walki. Prawie nie mieli już żywności. Wierzyli jednak, że uda im się jakoś przeżyć ten ciężki czas.

Usta zaczęły jej drżeć ze wzruszenia, ale kontynuowała opowieść spokojnym głosem.

-Dziadek powiedział, że wtedy właśnie, w tym kościele uwierzył, że wróci z wojny do domu. A godzinę później medalion ze świętym Krzysztofem uratował mu życie, powstrzymując kulę, która trafiłaby go w serce.

Catherine spojrzała ponad głową Michaela na posterunkowego Ortiza.

- Czy mógłby pan nas zawieźć teraz do katedry? Chciałabym pójść na pasterkę. Dobrze byłoby, gdybyśmy znalazły miejsca niedaleko wejścia, na wypadek, gdyby chciał mi pan przekazać jakieś nowe wiadomości.

- Znam szefa straży kościelnej. Nazywa się Ray Hickey -powiedział Ortiz. - Zajmę się tym.

Catherine zwróciła się następnie do detektywa Rhodesa:

- Czy odszuka mnie pan natychmiast, gdy tylko pojawią się jakiegokolwiek informacje?

- Oczywiście - zapewnił. Po chwili zaś dodał jeszcze: - Jest pani bardzo dzielną kobietą, pani Dornan. I chciałbym, aby pani wiedziała, że każdy policjant na północnym wschodzie zrobi wszystko, aby odnaleźć Briana i odesłać go całego i zdrowego do domu.

- Wierzę w to głęboko, a jedyny sposób, w jaki mogę wam pomóc, to modlić się.

- Ten przeciek nie nastąpił u nas - oznajmił Mort Levy szefowi detektywów Folneyowi, — Informację nagłośnił jakiś młody reporter ze stacji WYME. Obserwował mieszkanie Cally i widział, jak tam wchodzimy. Wydedukował natychmiast, że coś się dzieje i poszedł za Aiką Banks, gdy ta wracała do domu. Powiedział jej, że jest policjantem i wyciągnął z niej, co chciał. Nazywa się Pete Cruise.

- Masz cholerne szczęście, że to nikt od ciebie. Jak to się już skończy, damy nauczkę temu Cruise za podawanie się za policjanta - odgrażał się Folney - Ale teraz do pracy. Mamy jeszcze wiele do zrobienia.

Stał w swoim gabinecie przed wiszącą na ścianie wielką mapą północno-wschodniej części Stanów. Różnokolorowo zaznaczone drogi tworzyły istny gąszcz grubszych i cieńszych linii. Folney wziął do ręki wskazówkę.

- Jesteśmy tutaj, Mort. Musimy założyć, że Siddons miał już jakiś samochód, gdy opuszczał mieszkanie siostry. Zgodnie z jej wersją wyszedł z chłopcem kilka minut po osiemnastej. Jeżeli nasze rozumowanie jest prawidłowe i rzeczywiście natychmiast potem wsiadł do auta, jest już w drodze jakieś pięć, pięć i pół godziny.

Wskazówka przesunęła się po mapie.

- Lekkie opady śniegu zarejestrowano na odcinku od Nowe-

go Jorku do Herkimer, okolice zjazdu 30 z Thruwayu. Większy śnieg padał na terenie Nowej Anglii. Tak czy inaczej, Siddons może być teraz cztery do sześciu godzin jazdy od granicy. Folney mocno stuknęła końcem wskazówki w mapę.

- To tak, jakby szukać igły w stogu siana.

Mort czekał spokojnie, nic nie mówiąc. Wiedział, że szef nie oczekuje jeszcze na komentarze.

- Zarządziliśmy stan pogotowia wzdłuż całej granicy - podjął Folney. - Ale przy takim natężeniu ruchu na przejściach granicznych bardzo łatwo może nam się wymknąć, a poza tym wszyscy musimy sobie zdawać sprawę, że ktoś taki jak Siddons świetnie wie, jak przekroczyć granicę i znaleźć się w Kanadzie omijając punkty kontrolne.

Teraz nastąpiła przerwa na komentarze.

- A może upozorować wypadki na głównych drogach prowadzących do granicy i zmusić wszystkich, aby jakieś dwadzieścia mil do granicy jechali jednym pasem? - zasugerował Mort.

- Może. Istnieje jednak niebezpieczeństwo, że gdy zablokujemy drogi, w ciągu paru minut zrobi się na nich korek, który zmusi Siddonsa do zjazdu z autostrady przy najbliższej okazji. Gdybyśmy chcieli zrealizować ten plan, musielibyśmy także zablokować wszystkie zjazdy.

- A co będzie, gdy Siddons poczuje się w pułapce i... ? - Mort Levy zawahał się. - Siddons to czubek. Cally Hunter jest przekonana, że jej brat raczej zabije siebie i Briana, niż da się złapać policji. Myślę, że ona wie, co mówi.

- Gdyby miała dość odwagi, aby zadzwonić do nas natychmiast po tym, jak jej brat opuścił mieszkanie z tych chłopcem, ten bandyta nie zdołałby wyjechać nawet z Manhattanu - rozległo się nagle za ich plecami.

Obaj mężczyźni odwrócili się błyskawicznie. W drzwiach stał Jack Shore. Powoli przeniósł spojrzenie z Morta Levy'ego na Buda Folneya.

- Nowy trop, szefie. Patrolowy Chris McNally kupował sobie jakieś dwadzieścia minut temu hamburgera przy autostra-

dzie między Syracuse, zjazd 39, a Weedsport, zjazd 40 na Thru-wayu. Nie przyglądał się zbyt uważnie klientom, którzy stali przed nim w kolejce, ale dziewczyna, która wydawała zamówienia, Deidre Lenihan, opowiadała mu o medalionie ze świętym Krzysztofem, jaki miał na sobie pewien chłopczyk.

- Gdzie jest teraz ta Lenihan?

- Skończyła zmianę o dwudziestej trzeciej. Jej matka powiedziała, że zabrał ją jej chłopak. Nasi ludzie próbują ich teraz znaleźć. Ale powtarzam, gdyby Cally Hunter zatelefonowała do nas wcześniej, nic takiego by się nie wydarzyło, moglibyśmy obstawić każdą przydrożną restaurację pomiędzy Nowym Jorkiem a...

Bud Folney prawie nigdy nie podnosił głosu, ale tym razem nie wytrzymał.

- Zamknij się, Jack! Gdybanie nic tu nie pomoże. Zrób lepiej coś pożytecznego. Powiadom lokalne stacje radiowe z tamtego obszaru, aby nadały komunikat, że Deidre Lanihan proszona jest o natychmiastowy telefon do matki. Niech powiedzą, że jest potrzebna w domu czy coś takiego. I na miłość boską, nie pozwól, aby ktokolwiek skojarzył jej osobę z Jimmym Siddonsem albo dzieckiem. Zrozumiałeś?

Ze swojego stanowiska tuż przy autostradzie Chris McNally mógł bardzo dokładnie obserwować wszystkie przejeżdżające samochody. Śnieg przestał wreszcie sypać, ale nawierzchnia wciąż jeszcze była dość śliska. Dobrze przynajmniej, że kierowcy uważają, pomyślał, chociaż są pewnie sfrustrowani jazdą z prędkością nie większą niż trzydzieści pięć mil na godzinę.

Chociaż uwaga McNally'ego była cały czas skoncentrowana na jadących autostradą samochodach, w jego głowie wciąż brzmiały słowa komunikatu o zaginionym chłopczyku. Kiedy dotarł do niego raport o dziecku uprowadzonym przez zbiegłego mordercę, kilkuletnim chłopcu noszącym na szyi medalion ze świętym Krzysztofem, natychmiast zatelefonował do McDonalda, gdzie kupował hamburgera i poprosił o rozmowę z Deidre Lenihan, dziewczyną, która go obsługiwała tego wieczora. Nie zwracał większej uwagi na to, co mu opowiadała, ale pamiętał, że wspominała o jakimś chłopcu z medalionem. Teraz żałował, że nie był wówczas w nastroju, aby z nią porozmawiać, tym bardziej gdy dowiedział się od obsługi baru, że już skończyła pracę i pojechała gdzieś ze swoim chłopakiem.

Mimo że ślad był raczej nikły, Chris McNally postanowił powiadomić o nim swojego przełożonego, który przekazał tę informację do Pierwszego Departamentu Policji w Nowym Jorku. Tam uznano, że trop wart jest podjęcia. Natychmiast wystoso-

wano prośbę do lokalnej radiostacji o nadanie komunikatu, w którym prosi się Deidre o jak najszybszy kontakt z matką. Pani Lenihan podała im nawet opis samochodu chłopaka córki, co pozwoliło na zdobycie jego numerów rejestracyjnych i rozpoczęcie poszukiwań. Powiedziała im jednak także, że to wieczór dla Deidre wyjątkowy. Jej chłopak kupił pod choinkę pierścionek zaręczynowy. Zatem nie będzie łatwo znaleźć ich gdzieś na drodze, prawdopodobnie udali się w jakieś bardziej romantyczne miejsce.

Ale jeżeli nawet Deidre usłyszy komunikat i zadzwoni do matki, a potem na policję, co może im powiedzieć? Ze widziała chłopczyka z medalionem świętego Krzysztofa na piersi? To już wiedzą. Czy zapamiętała markę i model samochodu? Numery rejestracyjne? Chris wiedział, że nie była wcale bystra ani spostrzegawcza, jeśli coś naprawdę jej nie zainteresowało. Wszystko wskazywało na to, że raczej nie dostarczy policji nowych informacji.

Konkluzja ta sprawiła, że Chris stał się jeszcze bardziej markotny. Może ja sam byłem blisko tego dziecka, pomyślał. Może nawet stałem za nimi w kolejce do McDonalda?

Przypuszczenie, że był tuż obok porwanego dziecka, przyprawiło go o ból głowy. Moje dzieci są o tej porze w domu i pewnie już śpią, pomyślał.

Ten chłopczyk też powinien być ze swoją rodziną.

Zatrzeszczało radio. Zgłosiła się centrala.

- Chris - powiedział dyżurny - szef chce z tobą porozmawiać.

- Oczywiście.

Kapitan odezwał się natychmiast, a w jego głosie wyczuwało się zdenerwowanie.

- Chris, nowojorska policja uważa, że twój trop może pomóc uratować życie temu dziecku. Zrobimy wszystko, żeby znaleźć tę Lenihan, ale ty też rusz jeszcze głową. Postaraj się przypomnieć sobie, czy nie powiedziała czegoś, co mogłoby być dla nas ważne...

- Cały czas to robię, szefie. Jestem teraz na Thruwayu. Proszę pozwolić mi pojechać w kierunku zachodnim. Jeżeli ten facet był w barze mniej więcej wtedy, kiedy i ja tam byłem, jest teraz jakieś piętnaście minut jazdy od miejsca, w którym się znajduję. Może uda mi się nadrobić trochę czasu i gdy dowiecie się czegoś więcej od Deidre, będę bliżej niego.

- W porządku, jedź. I myśl, Chris, na Boga, myśl. Czy jesteś zupełnie pewien, że ta dziewczyna nie powiedziała niczego szczególnego o dziecku z medalionem albo o samochodzie, którym jechali?

„Przed chwilą”.

Te słowa wyskoczyły nagle z pamięci Chrisa. Czy to tylko jego urojenie, czy Deidre naprawdę powiedziała: „Przed chwilą widziałam chłopczyka z medalionem świętego Krzysztofa”?

Pokręcił głową. Nie mógł przypomnieć sobie, czy tak właśnie powiedziała. Był jednak pewien, że tuż przed nim stała w kolejce brązowa toyota na nowojorskich numerach rejestracyjnych. Tyle że nie było w niej dziecka, a przynajmniej on żadnego nie widział.

Ale... Jeżeli Deidre powiedziała „przed chwilą”, myśląc właśnie o tej toyocie? Jakie ten samochód miał numery rejestracyjny? Nie pamiętał. Ale coś w tym aucie zwróciło przeciw jego uwagę. Co to było?

- Chris? - Głos szefa zabrzmiał ostro, przerywając jego rozmyślenia,

- Przepraszam szefie, właśnie próbowałem sobie coś przypomnieć.

Wydaje mi się, że Deidre powiedziała wtedy, że przed chwilą widziała chłopczyka z tym medalionem. Jeżeli miała na myśli samochód, który stał przede mną w kolejce, to była to brązowa toyota z nowojorskimi numerami rejestracyjnymi.

- Pamiętasz jakieś cyfry?

- Nie, kompletnie nic. Myślamy byłem wtedy zupełnie gdzie indziej.

- A czy w tym samochodzie był jakiś chłopiec?

- Nie widziałem tam dziecka.



- Na wiele nam się to nie zda. Co trzeci samochód na drogach to toyota, a przy takiej pogodzie każde auto jest brudne i nie sposób odróżnić kolorów. Prawdopodobnie wszystkie wyglądają jakby były brązowe.

- Ale tamta na pewno było brązowa. Jestem tego absolutnie pewien. Nie pamiętam tylko, co dokładnie powiedziała mi De-idre.

- No dobrze, nie zwariuj od tego. Miejmy nadzieję, że niedługo odezwie się ta Lenihan, a tymczasem wysyłam na twoje stanowisko inny wóz patrolowy. Jedź na zachód. Odezwę się później.

Przynajmniej na coś się przydam, pomyślał Chris, westchnął i uruchomił silnik.

Jego wóz płynnie włączył się w ruch na autostradzie. Jediną rzeczą, na jakiej się naprawdę znam, jest prowadzenie samochodu, pomyślał z przekąsem, trzymając dłonie na kierownicy. Ostrożnie wyprzedzając innych kierowców, wjechał na pas awaryjny.

Jadąc nadal usiłował sobie przypomnieć, co zwróciło jego uwagę w stojącym przed nim w kolejce aucie. Miał to zapisane gdzieś w pamięci, był tego pewien. Żeby tylko udało mu się to odtworzyć. Gdy

koncentrował się, miał wrażenie, że jego podświadomość stara się wyrzucić z siebie tę informację. Może uda mu się ją wyłowić. Każdym włóknem ciała czuł, że jest coraz mniej czasu, aby uratować chłopca.

Jimmy był już bardzo poirytowany. Samochody jechały po autostradzie z taką prędkością, jakby prowadziły je staruszki i wszystko wskazywało na to, że do najbliższego zjazdu nie dotrze wcześniej niż za pół godziny.

Czas działał na jego niekorzyść; musiał jak najszybciej zjechać z Thruwayu i pozbyć się chłopca. Informacja, jaką zauważył przy drodze, głosiła, że zostało mu jeszcze pół mili do zjazdu 41 prowadzącego w kierunku miasta Waterloo. To rzeczywiście będzie Waterloo dla tego szczeniaka, pomyślał z okrutną satysfakcją.

Przestało padać, ale Jimmy nie był pewien, czy to dla niego dobrze. Na wpół stajały śnieg zamienił się na nawierzchni drogi w lód i jechało się jeszcze wolniej. A poza tym teraz każdy przejeżdżający obok gliniarz mógł bez przeszkód zajrzeć do środka jego samochodu.

Wjechał na prawy pas. Za minutę zjedzie z Thruwayu. Nagle w samochodzie jadącym przed nim zapaliły się światła hamowania.

- Dureń! Dureń! - wrzasnął Jimmy. - Skończony dureń!

Brian otworzył szeroko oczy i wyprostował się na siedzeniu, całkowicie przebudzony.

Jimmy klął, wyrzucając z siebie stek ordynarnych słów. Jadący cztery, może pięć samochodów przed nimi pług śnieżny zjechał właśnie na pas prowadzący na zjazd z autostrady. Jimmy instynktownie zmienił pas na środkowy, cudem nie wpadając na jadący przed nim samochód. Gdy udało mu się wreszcie zrównać z pługiem, było już za późno, aby zjechać z autostrady.

Jimmy grzmotnął ze złości w kierownicę. Teraz musi czekać na zjazd 42. Jak to daleko? - zastanawiał się zniecierpliwiony.

Jednak gdy spojrzął za siebie, zorientował się, że właściwie miał szczęście. Przy zjeździe, który właśnie minął, tłoczyło się kilka aut. Coś się musiało stać. Pewnie dlatego ten pług zmieniał pas. Gdyby zdążył tam zjechać, mógłby zostać zablokowany nawet na kilka godzin.

W końcu dostrzegł na poboczu znak informujący o kolejnym zjeździe. Sześć mil. Jadąc w takim tempie jak dotychczas, powinien tam dotrzeć w ciągu piętnastu minut. Czuł, że koła znacznie lepiej trzymały się tu nawierzchni. Najprawdopodobniej ten odcinek drogi posypano piaskiem. Opuszkami palców dotknął ukrytego w wewnętrznej kieszeni marynarki pistoletu. Może wyjąć go i ukryć pod siedzeniem?

Nie, zdecydował. Jeżeli policja spróbuje go zatrzymać, będzie potrzebny natychmiast. Spojrzął na drogomierz na desce rozdzielczej. Włączył go, gdy ruszał spod mieszkania Cally. Urządzenie wskazywało, że przejechał już ponad trzysta mil.

Wciąż miał do pokonania spory kawałek drogi, ale wiedząc, że z każdą milą jest bliżej granicy i Paige, czuł takie podniecenie, jakby już tam dojeżdżał. Tym razem uda mu się; zrobi wszystko, aby gliny go nie dostały.

Jimmy widział, jak chłopiec wierci się na siedzeniu, usiłując na nowo zasnąć. Powinienem go sprzątnąć pięć minut po tym, jak się napatoczył, pomyślał. Miałem samochód i forszę. Co mi odbiło, że go ze sobą zabrałem?

Posterunkowy Ortiz towarzyszył Catherine, jej matce i Michaelowi na Pięćdziesiątą Ulicę, gdzie znajdowało się wejście do katedry św. Patryka. Jeden z policjantów po cywilnemu czekał na nich na zewnątrz.

- Mamy dla państwa miejsca w sektorze dla gości - poinformował Catherine, otwierając ciężkie drzwi prowadzące do kościoła.

Cudowne brzmienie orkiestry, prowadzonej przez organy z akompaniamentem chóru wypełniało zatłoczoną przestrzeń.

- „Radosny, radosny” - śpiewał chór.

Radosny, radosny, pomyślała Catherine. Boże, błagam cię, niech i dla nas ta noc zakończy się radością.

Przeszli obok stajenki, w której naturalnej wielkości postaci Matki Boskiej, Józefa i pasterzy otaczały pusty jeszcze żłobek. Catherine wiedziała, że figurka dzieciątka Jezus zostanie tam umieszczona dopiero podczas mszy.

Policjant z ochrony pokazał im miejsca w drugim rzędzie środkowej nawy. Catherine wskazała drogę matce i szepnęła do ucha synowi:

- Usiądź pomiędzy nami, Michaele.

Sama chciała zająć miejsce od strony przejścia, aby móc lepiej obserwować wejście do katedry.

Posterunkowy Ortiz pochylił się nad siedzącą Catherine.

- Proszę pani, gdy tylko otrzymamy jakieś informacje, przyjdę je pani przekazać. Gdybym się nie pojawił, po zakoń-

czeniu pasterki policjant z ochrony wyprowadzi państwa na zewnątrz.  
Będę czeka! w samochodzie.

- Dziękuję panu bardzo - powiedziała Catherine i uklękła.

Muzyka zmieniła się w wibrujący, triumfalny pean, co było znakiem, że rozpoczyna się procesja - chór, ministranci, diakoni, księża i biskupi ruszyli do przodu, poprzedzani przez kardynała trzymającego w ręku zakrzywioną laskę pasterza.

Baranku Boży, modliła się Catherine, błagam, błagam, ratuj nas Baranku Boży

\*\*\*

Bud Folney siedział w swoim gabinecie i wpatrywał się w mapę, na której zaznaczono trasę Thruwayu. Zdawał sobie sprawę, że z każdą mijającą minutą maleją szanse na odnalezienie Briana Dornana żywego. Po drugiej stronie biurka siedzieli Mort Levy i Jack Shore.

- Kanada - powiedział z naciskiem. - Jedzie w stronę Kanady i jest coraz bliżej granicy.

Przed kilkoma minutami otrzymali kolejny raport z Michigan. Paige Laronde opróżniła wszystkie swoje konta bankowe w dniu, kiedy opuszczała Detroit. I w przyływie zaufania powiedziała swojej koleżance tancerce, że zna kogoś, kto jest geniuszem w podrabianiu dokumentów tożsamości.

W raporcie zapisano jej słowa: *Powiem ci, że mając takie papiery, jakie załatwiłam dla swojego chłopaka i dla siebie, oboje możemy po prostu zapaść się pod ziemię.*

-Jeżeli Siddonsowi uda się przekroczyć granicę... - mruknął Folney bardziej do siebie niż do siedzących przy biurku kolegów.

-Czy jest coś nowego od chłopaków patrolujących Thru-way? - zapytał już po raz trzeci w ciągu piętnastu minut.

- Nic, szefie - cicho odpowiedział Mort.

- Zadzwoń jeszcze raz. Chcę z nimi pogadać osobiście.

Połączono go ze zwierzchnikiem Chrisa McNally, który potwierdził, że nie mają nic nowego w sprawie Siddonsa. Folney poprosił o bezpośredni kontakt z McNallym.

- Dużo nam to da - burknął Jack Shore do Morta. Zanim jednak doszło do rozmowy, nadeszły nowe informacje.

- Bardzo pilne - poinformował asystent Folneya, wpadając do jego gabinetu. - Jakaś godzinę temu prawdopodobnie Sid-donsa i chłopca widział patrol na postoju przy drodze 91 w okolicy Vermont, niedaleko White River Junction. Mężczyzna odpowiadał rysopisowi Siddonsa, a chłopiec nosił na szyi coś w rodzaju medalionu.

- Damy sobie na razie spokój z tym McNallym - zdecydował Folney. - Chcę rozmawiać z policjantem, który ich widział. Skontaktujcie się z policją w Vermont, niech zablokują wszystkie zjazdy z autostrady na północ od miejsca, gdzie ich widziano. Z tego co wiemy, dziewczyna Siddonsa może czekać na niego w jakimś opuszczonym domu po naszej stronie granicy. -Spojrzał na Morta. - Zadzwoń do Cally Hunter i przekaz jej wiadomość, którą otrzymaliśmy. Spytaj, czy Jimmy był kiedykolwiek w Vermont, a jeśli tak, to gdzie konkretnie? Może jest jakieś miejsce, do którego teraz zmierza.

Brian wyczuł, że samochód przyspieszył. Otworzył oczy, ale natychmiast zamknął je z powrotem. Wolał udawać, że śpi, niż walczyć z przerażeniem, gdy Jimmy na niego spojrzy. Chłopiec także słuchał radia. Chociaż grało bardzo cicho, zdołał wyłowić wiadomość o Jimmym Siddonsie, zabójcy policjanta, który postrzelił więziennego strażnika, a później uprowadził Briana Dornana.

Mama czytała im kiedyś przed zaśnięciem książkę pod tytułem „Porwany”. Brianowi bardzo się ta opowieść podobała, ale gdy poszli do łóżek Michael powiedział, że jego zdaniem ta historia była głupia.

Powiedział, że gdyby to jego ktoś próbował porwać, kopnąłby porywacza, odepchnął i uciekł.

No dobrze, aleja przecież nie mogę uciec, pomyślał Brian. Był pewien, że próba obezwładnienia Jimmy'ego nie powiodłaby się. Bardzo żałował, że nie udało mu się niepostrzeżenie otworzyć drzwi auta i wyskoczyć, jak to wcześniej planował. Przy wyskoku mógłby się zwinąć w kulę, jak uczono ich na lekcjach gimnastyki. Na pewno nic by mu się nie stało. Ale teraz drzwi od jego strony zostały zablokowane i Brian dobrze wiedział, że zanim zdążyłby dotknąć klamki, Jimmy odepchnąłby go, a później ukarał.

Miał ochotę się rozpłakać. Czuł, że łzy napływają mu do oczu. Starał się myśleć o tym, że Michael często nazywał go beksą. To czasami pomagało.

Tym razem, niestety, nie pomogło. Ale nawet Michael rozplakałby się, gdyby był tak przerażony, jak on teraz, a do tego znowu chciało mu się iść do toalety. A przecież w radiu powiedzieli wyraźnie, że Jimmy jest niebezpieczny.

Chociaż Brian nie mógł powstrzymać płaczu, starał się nie wydawać żadnych dźwięków. Czuł, jak łzy płyną mu po policzkach, nie robił jednak nic, aby je obetrzeć. Gdyby ruszył ręką, Jimmy zauważyłby, że nie śpi.

Zamiast tego jeszcze mocniej ścisnął w rękę medalion ze świętym Krzysztofem i próbował myśleć o tym, jak to będzie, gdy tata wróci już do domu, ubiorą choinkę i otworzą prezenty. Tuż przed wyjazdem do Nowego Jorku odwiedziła ich sąsiadka, pani Emerson. Przyszła się pożegnać i powiedziała do mamy: „Catherine, pamiętaj, że kiedy już ubierzecie swoją choinkę, przyjdziemy pod wasze okno i będziemy śpiewać kolędy”. A potem odwróciła się do Briana i dodała: „Wiem, jaka jest twoja ulubiona kolęda”.

„Cicha noc”.

Brian śpiewał ją w ostatnie Boże Narodzenie na szkolnym przedstawieniu.

Teraz także próbował zaśpiewać ją w duchu, ale nie mógł przebrnąć nawet przez pierwsze wersy. W końcu przestał o tym myśleć, bo inaczej nie ukryłby przed Jimmym płaczu.

W pewnej chwili niemal podskoczył na fotelu. W radiu znowu ktoś mówił o nim i Jimmym. Podawano informację, że patrolowy w Vermont widział Jimmyego Siddonsa i kilkuletniego chłopca w starym dodge'u lub chevrolecie na parkingu przy trasie 91 koło Vermont, gdzie skoncentrowano poszukiwania.

Ponury uśmiech na twarzy Jimmy'ego zniknął równie szybko, jak się pojawił. Po chwilowej uldze, jaką poczuł, słysząc komunikat, ogarnęły go obawy. Czy to możliwe, aby ktoś widział go w Vermont? Po chwili uznał to jednak za prawdopodobne. W czasie, kiedy ukrywał się w Michigan, pewien świr przysięgał, że widział go w Delaware. Gdy policja ujęła go podczas napadu na stację benzynowa i odesłała do Nowego Jorku, dowie-



dział się, że rzeczywiście przez kilka miesięcy był poszukiwany w Delaware.

Niemniej poczuł się na Thruwayu niepewnie. Droga była dobra i miał szansę nadrobić stracony czas, ale jednocześnie wiedział, że im bliżej granicy, tym więcej patroli pojawi się na autostradzie. Zdecydował, że gdy pozbędzie się dzieciaka, dalej pojedzie trasą 20. Ponieważ śnieg ustał na dobre, miał szansę dotrzeć punktualnie na umówione miejsce.

Nie wolno ci lekceważyć swoich przeczuc, upominał sam siebie. Już raz zdarzyło mu się je zignorować, kiedy zdecydował się napaść na stację benzynową. A przecież dobrze pamiętał, że jakiś wewnątrz głos ostrzegł go wtedy, aby tego nie robił.

No, ale gdy wreszcie z tym skończę, pomyślał zerkając na Briana, nie powinienem mieć więcej kłopotów. Uśmiechnął się złowrogo. Za szybą mignął znak: *Zjazd 42, Geneva, jedna mila.*

\*#\*

Chris McNally minął zablokowany zjazd 41. Stały tam dwa wozy policyjne, uznał więc, że dadzą sobie radę i bez niego. Jechał szybko i według swoich obliczeń zrównał się już z samochodami, które razem z nim zatrzymały się przy McDonalddie. Zakładając, że nie zjechały wcześniej z autostrady

Brazowa toyota. Takiego auta wypatrywał przede wszystkim. Co w nim było takiego charakterystycznego? Zacisnął zęby, po raz setny już chyba starając się pobudzić swoją pamięć. Było tam coś, co przykuło wtedy jego uwagę... Myśl, do cholery, ponaglał sam siebie, myśl.

Nawet przez chwilę nie uwierzył w podaną przez radio informację, że widziano Siddonsa i chłopca w okolicach Vermont.

Zbliżał się do zjazdu 42, prowadzącego do Genevy. Oznaczało to, że do granicy kanadyjskiej zostało nie więcej niż sto mil. Samochody jechały teraz z prędkością pięćdziesiąt, sześćdziesiąt mil na godzinę. Jeśli Jimmy Siddons rzeczywiście był w pobliżu, za dwie godziny może przekroczyć granicę.

Może to było coś z tablicami rejestracyjnymi, pomyślał.

Nagle zmrużył oczy. Zbliżał się do toyoty, której kierowca właśnie zmieniał pas ruchu na szybszy. Chris zrobił to samo i jadąc za nim przyglądał się uważnie autu. Modlił się w duchu, aby w środku znajdował się mężczyzna z chłopcem.

Nie włączając syreny ani świateł alarmowych Chris podjechał bliżej. W samochodzie dostrzegł jakąś młodą parę. Chłopak prowadził obejmując jedną ręką siedzącą obok dziewczynę, co nie było rozsądne na oblodzonej jezdni. W innej sytuacji Chris zatrzymałby ich natychmiast, ale teraz wcisnął tylko mocniej gaz. Droga nie była już tak zatłoczona i ruch odbywał się dużo spokojniej. Samochody jechały coraz szybciej, a granica z Kanadą była coraz bliżej.

Chociaż radio w wozie było przyciszone, w pewnej chwili usłyszał wezwanie:

- Patrolowy McNally!

- Słucham.

- Mówi Bud Folney z Nowego Jorku. Rozmawiałem przed chwilą z pana zwierzchnikiem. Ten sygnał z Vermont okazał się pomyłką. Nie znaleziono także tej kobiety, Lenihan. Proszę powtórzyć mi jeszcze raz, co pan meldował o brązowej toyocie.

Chris powtórzył więc, że jeśli Deidre mówiła o samochodzie, który stał bezpośrednio przed nim w kolejce do McDonalda, mogło chodzić o brązową toyotę na nowojorskich numerach.

- Nie pamięta pan tych numerów?

- Niestety, nie. Ale było tam coś, co mnie zastanowiło. Dojeżdżał do zjazdu 42. Jadące dwa samochody przed nim ciemne auto skręciło na zewnętrzny pas. Wzrok Chrisa przykuła jasna plamka na zderzaku zjeżdżającego z autostrady pojazdu.

- Mój Boże! - powiedział.

- Halo, co się stało?

- Już wiem - powiedział Chris. - To nie tablice rejestracyjne zwróciły wtedy moją uwagę, ale naklejka na zderzaku. Został z niej tylko kawałek, z jednym słowem „dziedzictwo”. Proszę

pana, właśnie jadę za tą toyotą. Zjeżdża z autostrady Możecie sprawdzić numery?

- Nie zgub jej! - krzyknął Folney. -1 nie trać głowy.

Trzy minuty później w mieszkaniu 8C na ulicy Stuyvesant Oval numer 10 na dolnym Manhattanie zadzwonił telefon. Zaspany i zły Edward Hillson podniósł słuchawkę.

- Halo - powiedział. - Co takiego? Mój samochód? Zaparkowałem go za rogiem, koło budynku z numerem 5, czy coś takiego. Nie, nikomu go nie pożyczałem. Tak. Brązowa toyota. Co pan mówi?

\*\*\*

Bud Folney ponownie połączył się z Chrisem.

- Myślę, że go masz. Pamiętaj tylko, na Boga, o jednym: groził, że prędzej zabije dziecko, niż da się złapać. Bądź ostrożny.

Michael był bardzo śpiący. Marzył o tym, aby oprzeć się na ramieniu babci i zamknąć oczy. Ale jeszcze nie mógł tego zrobić - najpierw musiał mieć pewność, że z Brianem wszystko jest w porządku. Czemu nic mu nie powiedział, gdy zauważył, że ta kobieta podnosi portfel mamy? Mógłby razem z nim pobiec za nią i później, gdy złapał go ten facet, zorganizowałby pomoc.

Kardynał stanął przy ołtarzu. Gdy muzyka ucichła, nie rozpoczął jednak mszy, ale niespodziewanie przemówił do wiernych:

-Tej nocy, pełnej radości i wiary...

Z prawej strony Michael widział kamery telewizyjne. Zawsze wydawało mu się, że bardzo przyjemnie jest występować w telewizji. Taka sytuacja kojarzyła mu się zawsze ze zdobyciem jakiejś nagrody albo z uczestnictwem w niecodziennym wydarzeniu. To z pewnością byłoby zabawne. Ale dzisiejszej nocy, gdy oboje z mamą byli w studiu, wcale nie było przyjemnie.

Czuł się doprawdy strasznie, słuchając jak mama błaga tych ludzi, aby pomogli Brianowi.

-... w roku, który przyniósł tak wiele gwałtu na niewinnych...

Michael wyprostował się. Kardynał mówił o nich, o chorym ojcu i zaginionym Brianie, który jest w rękach zbiegłego mordercy.

- Mama, babcia i dziesięcioletni brat Briana Dornana są dzisiaj z nami na pastercie. Zmówmy specjalną modlitwę, prosząc Boga o zdrowie dla doktora Thomasa Dornana i szczęśliwy powrót do domu Briana.

Michael widział, że mama i babcia płakały. Ich usta poruszały się bezgłośnie, szepcząc słowa modlitwy. On sam też zaczął się modlić, cały czas powtarzając w myśli radę, jaką chciałby dać Brianowi, gdyby brat mógł go usłyszeć: „Uciekaj, Brian, uciekaj”.

\*\*\*

Po zjechaniu z Thruwayu Jimmy poczuł wprawdzie pewną ulgę, ale ciągle nie mógł pozbyć się wrażenia, że grozi mu niebezpieczeństwo. W samochodzie kończyło się paliwo, ale bał się zatrzymać z chłopcem na stacji benzynowej. Znajdował się na trasie 14, która sześć mil dalej łączyła się z trasą 20. Ta zaś prowadziła prosto do granicy kanadyjskiej. Na drodze, którą jechali, ruch był dużo mniejszy niż na autostradzie. Późny wieczór wigilijny to pora, gdy ludzie spędzają czas w domach, śpiąc lub szykując się do świąt Bożego Narodzenia. Byłoby bardzo dziwne, gdyby jednak ktoś mnie poszukiwał o tej porze, pomyślał Jimmy. Postanowił, że dostanie się jakąś boczną drogą do Genevy, znajdzie tam pustą szkołę albo inny tego typu budynek z dużym parkingiem, może też poszukać lasu, jednym słowem miejsca, w którym mógłby zatrzymać się przez nikogo nie zauważony i zrobić, co miał do zrobienia.

Skrecając w prawo, Jimmy spojrzął w tylne lusterko. Przez moment wydawało mu się, że widzi za sobą błysk świateł innego samochodu, ale po chwili uznał, że to tylko odbłask lampy.

Robię się nerwowy, pomyślał.

Po przejechaniu kilkuset metrów znaleźli się w okolicy, która wydawała się całkowicie opustoszała. Jak okiem sięgnąć, nie było śladu żadnego samochodu. Znajdowali się w dzielnicy

domków jednorodzinnych, cichej i pogrążonej w ciemnościach. Większość budynków była nie oświetlona, gdziekolwiek tylko migotały lampki choinkowe ozdabiające żywopłoty i zielone drzewka na pokrytych śniegiem trawnikach.

Jimmy nie był pewien, czy chłopiec naprawdę śpi, czy tylko udaje. Zresztą nie miało to dla niego żadnego znaczenia. Byli w okolicy, jakiej potrzebował. Przejechał jeszcze kilka przecznic i w końcu zobaczył to, czego szukał: szkołę z długim podjazdem, który prowadził na parking. Przeszukał wzrokiem okolicę i nie zauważył niczego niepokojącego, żadnego nadjeżdżającego auta ani spóźnionego przechodnia. Zatrzymał samochód i opuścił do połowy szybę, nasłuchując uważnie, czy nie dobiegną go jakieś dźwięki zwiastujące kłopoty. Chociaż nie usłyszał niczego podejrzanego, na wszelki wypadek wyłączył silnik toyoty. Na zewnątrz było zupełnie cicho.

Mimo to postanowił wykonać jeszcze jedno okrażenie po okolicy, aby się upewnić, że nikt za nim nie jechał. Ruszając spojrzął w tylne lusterko i jego wzrok nagle znieruchomiał. Cholera. A jednak miał rację: jechał za nim jakiś wóz z wyłączonymi światłami. W jego dachu odbijały się światła lampek, którymi udekorowane było drzewko stojące przed domem tuż obok szkoły.

Wóz patrolowy. Gliny!

- Niech ich szlak trafi - zaklął pod nosem. — Cholera! Cholera!

Z całej siły nacisnął pedał gazu. Może to będzie jego ostatnia jazda, ale musi dać z siebie wszystko. Spojrzął na Briana.

- Przestań udawać! Wiem, że nie śpisz! - wrzasnął. - Wyprostuj się, ty cholerny szczeniaku. Powinienem dać ci w łeb, jak tylko wyjechaliśmy z miasta. Przeklęty gówniarz.

Jimmy docisnął gaz do dechy. Szybkie spojrzenie w tylne lusterko upewniło go, że jadący za nim samochód także przyspieszył; jego kierowca przestał się kryć z pościgiem. Ale był to tylko jeden wóz policyjny.

Cally doniosła glinom o chłopaku, pomyślał. Wygląda też na to, że powiedziała im, że zabiję małego, jeżeli spróbują mnie złapać. Dlatego ten gliniarz nie próbował otwarcie się zbliżyć.

Jimmy spojrzął na licznik: pięćdziesiąt... sześćdziesiąt... siedemdziesiąt mil. Niech cię diabli! zaklął w duchu, mając na myśli toyotę. Żałował, że nie jedzie czymś szybszym. Dosłownie zrosł się z kierownicą. Nie oczekiwał po tym samochodzie cudów, ale jeszcze miał szansę. Ścigający go policjant wciąż nie miał żadnych posiłków.

Co zrobi, gdy zobaczy jak strzelam do dzieciaka i wyrzucam go z samochodu? Oczywiście zatrzyma się i będzie usiłował mu pomóc, uznał Jimmy. Lepiej zrobię to teraz, zdecydował, zanim wezwie pomoc. Sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki, gdzie trzymał broń. W tej samej sekundzie samochód wjechał na oblodzoną jezdnię i wpadł w poślizg. Jimmy upuścił pistolet na kolana i obiema rękoma chwycił kierownicę, skręcając ją zgodnie z kierunkiem ruchu samochodu. Jakimś cudem udało mu się uniknąć roztrzaskania się na drzewie rosnącym tuż przy jezdni.

Nikt tak jak ja nie potrafi prowadzić, pomyślał z dumą. Ponownie wziął do ręki pistolet i odbezpieczył. Gliny zatrzymają wóz, aby zająć się dzieciakiem, a ja tymczasem dojadę do Kanady, kombinował.

Odblokował drzwi od strony pasażera i sięgnął ręką, chcąc je otworzyć.

Cally wiedziała, że aby uzyskać informacje w sprawie małego Briana, musi zadzwonić na posterunek policji. Gdy rozmawiała ostatnio z detektywem Levym, wyjaśniła mu, dlaczego jej zdaniem Jimmy nie będzie próbował dostać się do Kanady przez Vermont. „Miał piętnaście lat, kiedy popadł w tym mieście w poważne tarapaty - powiedziała. - Nigdy nie siedział tam w więzieniu, ale wydaje mi się, że tamtejszy szeryf nieźle go nastraszył. Ostrzegł Jimmy'ego, aby nigdy więcej nie pokazywał się w mieście. Chociaż zdarzyło się to dobre dziesięć lat temu, Jimmy z całą pewnością wciąż o tym pamięta. Moim zdaniem jedzie Truwayem. Wiem, że jeździł kilkakrotnie do Kanady, gdy był jeszcze nastolatkiem, i za każdym razem korzystał z tej samej drogi, właśnie z Truwayu". Levy z uwagą słuchał tego, co mówiła. Cally wiedziała, że chciał jej wierzyć i modliła się, aby tym razem jej zaufał. Modliła się też o to, aby jej przypuszczenia okazały się słuszne i aby policja znalazła Briana całego i zdrowego.

Telefon odebrał ktoś inny i musiała chwilę poczekać na Levy'ego.

- O co chodzi, Cally?

- Chciałam się tylko dowiedzieć, czy są jakieś wiadomości... Modliłam się, aby to, co wam powiedziałam o Jimmym, że jechał Thruwayem, okazało się pomocne.



Głos Levy'ego wyraźnie zmiękł.

- Cally, naprawdę nam bardzo pomogłaś, jesteśmy ci za to wdzięczni. Nie mam teraz czasu, aby dłużej z tobą rozmawiać, ale proszę, nie przestawaj się modlić.

To znaczy, że zlokalizowali Jimmy'ego, pomyślała. Ale co z chłopcem? Uklękła przy stole.

Nieważne, co stanie się ze mną. Boże, nie pozwól Jimmy'emu zrobić krzywdę temu dziecku.

\*\*\*

Chris McNally zorientował się od razu, że Jimmy go zauważył. Cały czas utrzymywał łączność radiową ze swoim posterunkiem, a także z Pierwszym Departamentem Policji na Manhattanie.

- Już wie, że jest śledzony - zameldował. — Ucieka, aż się za nim kurzy.

- Nie trać go z oczy - powiedział spokojnie Bud Folney. - Posiłki są już w drodze, wedle informacji dyżurnego z twojego komisariatu. Chłopcy jadą bez syren i na wygaszonych światłach. Dostali polecenie, aby was otoczyć. Włączyliśmy też do akcji helikopter.

- Niech mu się nie pokazują! - powiedział Chris, naciskając mocniej gaz. - Siddons pruje siedemdziesiątką. Na ulicach nie ma co prawda dużego ruchu, ale nie są zupełnie puste. Zaczyna się robić niebezpiecznie.

Chris z przerażeniem obserwował, jak Siddons przejechał na pełnym gazie skrzyżowanie, cudem tylko unikając zderzenia z nadjeżdżającym z prawej samochodem. Prowadził jak szalony. Chris nie miał żadnej wątpliwości, że za chwilę dojdzie do wypadku.

- Minał Lakewood Avenue - zameldował przez radio. Dwie przecznice dalej zobaczył, jak toyota wpadła w poślizg i niemal zderzyła się z drzewem. Po minucie zawołał:

- Chłopiec!

- Co się dzieje? - domagał się wyjaśnień Folney.

— Ktoś otworzył przednie drzwi toyoty od strony pasażera. W samochodzie pali się teraz światło... Brian broni się przed Siddonsem, który usiłuje go wypchnąć. Mój Boże... On wyciągnął pistolet! Chyba chce zastrzelić chłopca!

Chór w katedrze zaintonował „Kyrie Eleison”. Boże bądź miłosierny, modliła się Barbara Gavanaugh. Ocal moją owieczkę, błagała Catherine. Uciekaj, matołku, uciekaj od niego, krzyczał w myślach Michael.

\*\*\*

Jimmy Siddons pędził jak szalony. Brian nigdy jeszcze nie jechał tak szybko samochodem. Nie bardzo zdawał sobie sprawę z tego, co się działo, domyślał się jedynie, że chyba ktoś ich ściga.

Chłopiec na moment oderwał wzrok od drogi i spojrzął na Jimmy ego. Mężczyzna trzymał w ręku pistolet. Nagle przechylił się i odpiął jego pas bezpieczeństwa, a następnie otworzył od jego strony drzwi. Do wnętrza samochodu wpadł lodowaty podmuch powietrza.

Na chwilę sparaliżował Briana potworny strach, ale w ułamku sekundy go przemógł i wyprostował się na fotelu. Nie miał już wątpliwości, do czego Jimmy zmierza.

Wiedział, że musi uciekać. Cały czas kurczowo ścisnął w dłoni pamiątkowy medalion, żeby dodać sobie odwagi. Nagle poczuł, że Jimmy trąca go w bok lufą pistoletu, chcąc na nim wymusić przesunięcie się bliżej otwartych drzwi i uciekającej pod kołami szosy. Trzymając się lewą ręką klamry spinającej

końcówkę pasa, Brian przechylił się bezwładnie w prawo. W tym samym momencie wypuszczony z jego dłoni medal zatoczył szeroki łuk i uderzył Jimmy'ego w twarz, trafiając w lewe oko.

Jimmy krzyknął z bólu i puścił kierownicę, instynktownie naciskając z całych sił pedał hamulca. W chwili, gdy zakrył dłońmi twarz, wypalił pistolet. Kula ze świstem przeleciała tuż koło ucha Briana, a pozbawiony kontroli samochód wpadł w poślizg. Odbił się od krawężnika, przejechał przez trawnik, a następnie wpadł na gęsty żywopłot. Obracał się jeszcze przez chwilę wokół własnej osi, przesuając się jednocześnie po trawniku w kierunku jezdni, na krawędzi której w końcu się zatrzymał.

Jimmy klął głośno, jedną ręką znowu trzymając mocno kierownicę, a w drugiej ściskając podniesiony z podłogi pistolet. Z rany na czole sączyła się krew, zalewając mu oko i spływając po policzku.

Uciekać. Uciekać. Te słowa rozbrzmiewały w głowie Briana, jakby wykrzykiwał je głośno ktoś tuż za nim. Chłopiec dał nura przez drzwi i przekoziółkował po przysypanym śniegiem trawniku, słysząc jak kolejna kula ze świstem przelatuje tuż nad jego ramieniem.

-Chryste Panie, dzieciak wypadł z samochodu! - zawołał Chris.

Zahamował raptownie i jego auto zatrzymało się tuż za toyotą. - Podnosi się. Mój Boże!

- Czy jest ranny? - krzyknął Bud Folney, ale Chris już tego nie słyszał.

Wypadł z samochodu i rzucił się w stronę Briana. Widział, że Siddons uruchomił już auto i wykręcił, najwyraźniej zamierzając rozjechać chłopca. W ciągu kilku sekund, które wydawały mu się długie jak wieczność, Chris przemierzył trawnik i znalazł się przy Brianie.

Toyota z rykiem silnika jechała prosto na nich. Przednie drzwi od strony fotela pasażera wciąż były otwarte i w oświetlonym wnętrzu samochodu widać było wyraźnie wykrzywioną wściekłością twarz Jimmy'ego.

Mocno trzymając w objęciach

Briana, Chris uskoczył w bok i sturlał się w niewielkie zagłębienie przykryte śniegiem, nieruchomiejąc dokładnie w momencie, gdy koła toyoty przetoczyły się kilkanaście centymetrów od ich głów. Po chwili usłyszeli przenikliwy dźwięk tłuczonego szkła i zgniatanego metalu. Samochód Siddonsa zahaczył o kolumnę ganku, przekoziółkował po trawniku i znieruchomiał z kołami w górze.

Przez moment panowała cisza; po kilku sekundach zagłuszyło ją narastające wycie policyjnych syren. Noc rozświetliły lampy kilkunastu wozów patrolowych, które z piskiem opon otoczyły przewróconą toyotę. Chris jeszcze przez chwilę leżał nieruchomo na śniegu, tuląc do siebie Briana i wsłuchując się w pulsujące dźwięki policyjnych sygnałów. Nagle usłyszał cienki głosik, pytający z nadzieją:

— Czy ty jesteś świętym Krzysztofem?

- Niezupełnie Brianie, ale, prawdę powiedziawszy, teraz czuję się tak, jakbym naprawdę nim był - odpowiedział ciepło. -Wesołych świąt, synku.

Posterunkowy Manuel Ortiz wślizgnął się bezszelestnie do katedry przez boczne drzwi i natychmiast poczuł na sobie spojrzenie Catherine. Uśmiechnął się do niej radośnie i pokiwał głową. Kobieta zerwała się z miejsca i w okamgnieniu znalazła się przy nim.

- Czy on...

- Jest cały i zdrowy. Leci tu policyjnym helikopterem. Będzie na miejscu, zanim msza dobiegnie końca.

Widząc, że operator jednej z kamer telewizyjnych kieruje ją w ich stronę, Ortiz uniósł w górę rękę, tworząc z kciuka i palca wskazującego kółko na znak, że udało się i że w tym szczególnym dniu wszystko już jest w porządku.

Ludzie siedzący najbliżej nich zrozumieli, co się stało, i zaczęli cicho klaskać. Powoli zwracały się w ich stronę głowy innych i w ciągu kilku chwil wewnątrz olbrzymiej katedry rozbrzmiewało spontanicznymi oklaskami radości. Minęło całe pięć minut, zanim diakon był w stanie rozpocząć czytanie wybranego na ten dzień fragmentu Ewangelii:

- I stało się, że przeminęło...

- Chcę powiedzieć Cally, co się wydarzyło - zwrócił się detektyw Levy do Buda Folneya. - Oczywiście zgadzam się, że powinna do nas zadzwonić wcześniej i poinformować, co zrobił jej brat, ale mam nadzieję...

\*\*\*

- Uspokój się. Nie zamierzam dzisiejszej nocy odgrywać roli Scrooge'a. Ta dziewczyna współpracowała z nami i jak najbardziej zasługuje na to, aby usłyszeć dobrą wiadomość - wszedł mu w słowo Folney. - A poza tym pani Dornan postanowiła nie wnosić przeciw niej oskarżenia. - Przerwał i przez moment nad czymś się zastanawiał. - Wiesz co, widziałem niedawno na komendzie jakieś zabawki. Poproś chłopaków, żeby się ruszyli i znaleźli coś dla córeczki Cally. Niech przywiozą wszystko za jakieś trzy kwadranse pod jej dom. Mort, wręczymy te prezenty obaj. A ty, Shore, możesz iść do domu.

\*\*\*

Brian po raz pierwszy w życiu leciał helikopterem i chociaż czuł się śmiertelnie zmęczony, był zbyt podniecony, aby nawet pomyśleć o zamknięciu oczu. Żałował, że patrolowy McNally, a właściwie Chris, jak pozwolił mu się do siebie zwracać, nie mógł polecieć razem z nim. Był z Brianem, gdy policjanci aresztowali Siddonsa i powiedział mu, aby już się nie bał, bo ten bandyta nie ucieknie po raz drugi z więzienia. A potem przyniósł mu zostawiony w toyocie medalion z wizerunkiem świętego Krzysztofa.

Gdy helikopter zaczął schodzić do lądowania, Brianowi wydawało się, że maszyna usiądzie na środku rzeki. Rozpoznał most przy Pięćdziesiątej Dziewiątej Ulicy i tramwaje na Roosevelt Island. Tata zabierał go tam czasami na spacer. Myśląc o tacie zastanawiał się, czy on wie, co mu się przydarzyło.

- Mój tata leży w szpitalu, tu niedaleko. Muszę się z nim zobaczyć. Może się o mnie niepokoić - poinformował jednego z eskortujących go policjantów.

Policjant znał historię rodziny Dornanów.

- Już niedługo zobaczysz tatusia, mały. Ale na razie jedziemy do mamy, która czeka na ciebie w katedrze św. Patryka.

\*\*\*

Gdy w mieszkaniu na Avenue B rozległ się dzwonek telefonu, Cally podnosząc słuchawkę była już pogodzona z myślą,

że może zostać aresztowana. Jednak detektyw Levy uprzedził ją tylko, że wpadnie do niej niebawem z kimś jeszcze. Wkrótce do drzwi jej mieszkania zapukało dwóch rozpromienionych Świętych Mikołajów, obładowanych lalkami i grami, popychających przed sobą przepiękny, nowiutki wózek ze śnieżnobiałą pościelą.

Cally z otwartymi szeroko ze zdumienia oczami przyglądała się, jak obaj mężczyźni ustawiają prezenty pod choinką.

- Twoje informacje bardzo nam pomogły - powiedział Bud Folney. - Synek państwa Dornan czuje się dobrze i jest już w drodze do Nowego Jorku. Jimmy natomiast przewieziony zostanie do więzienia. Znowu jest w naszych rękach i tym razem możemy ci obiecać, że zrobimy wszystko, aby już się nie wymknął. Mam nadzieję, że teraz twoje życie odmieni się na lepsze.

Cally poczuła, jak z serca spada jej olbrzymi kamień. -Dziękuję...

Dziękuję... - szepnęła; nic więcej nie była w stanie wykrztusić przez ściśnięte wzruszeniem gardło.

- Wesołych świąt, Cally - zawołali chórem Folney i Levy.

Gdy wyszli, Cally po raz pierwszy tej nocy poczuła, że może spokojnie położyć się spać. Równy oddech Gigi był odpowiedzią na jej gorące modlitwy. Odtąd będzie mogła wsłuchiwać się w niego co wieczór, bez lęku, że jej mała córka zostanie jej znowu odebrana. Wszystko będzie dobrze, pomyślała. Teraz naprawdę w to uwierzyła.

Gdy już zasypiała, pomyślała jeszcze, że gdy Gigi zauważy brak wielkiej paczki z prezentem dla Świętego Mikołaja, z czystym sumieniem będzie mogła jej powiedzieć, że Mikołaj przyszedł i zabrał ją osobiście.

\*\*\*.

Właśnie miała rozpocząć się ostatnia kolęda na zakończenie pasterki, gdy boczne drzwi katedry ponownie się otworzyły i wszedł posterunkowy Ortiz. Tym razem był z nim ktoś jeszcze. Mężczyzna nachylił się do stojącego obok chłopca i pokazał



mu coś palcem. Zanim Catherine zdążyła podnieść się z kolan, Brian był już w jej ramionach, przyciskając do matczynej piersi medalion z wizerunkiem świętego Krzysztofa.

Gatherina nie była w stanie nic powiedzieć, czuła tylko, jak po policzkach spływają jej gorące łzy radości i ulgi. Jej chłopiec znowu jest bezpieczny. Wreszcie uwierzyła, że teraz także Tom pokona swoją chorobę.

Barbara również nie mogła mówić ze wzruszenia, pochyliła się tylko i położyła dłoń na główce wnuczka.

Dopiero Michael przerwał tę ciszę, szepcząc słowa powitania:

— Cześć, matołku. — I uśmiechnął się krzywo do młodszego brata.

## Boże Narodzenie

Poranek Bożego Narodzenia był chłodny i bezchmurny. O godzinie dziesiątej Catherine, Brian i Michael byli już w szpitalu.

Gdy wychodzili z windy na piątym piętrze, na korytarzu czekał na nich doktor Crowley.

- Mój Boże, Catherine - zawołał na ich widok - czy wszystko w porządku?

Dopiero dziś rano, po przyjeździe tutaj, o wszystkim się dowiedziałem.

Musisz być ledwo żywa po takich przejściach.

- Dziękuję za troskę, ale czuję się dobrze - odpowiedziała, patrząc na synów. - Wszyscy czujemy się świetnie. A co z Tomem? Gdy telefonowałam rano, powiedziano mi tylko, że noc minęła bez problemów.

- Tak było. Uważam, że to dobry znak. Tom spędził noc spokojnie, jestem pewien, że dużo spokojniej niż wy. Nie miej mi tego za złe, ale zdecydowałem się powiedzieć Tomowi o Brianie. Już od rana wydzwaniają tutaj, różni dziennikarze i pomyślałem, że niedobrze by było, gdyby dowiedział się o wszystkim z jakiejś przypadkowo zasłyszanej rozmowy. Mówiąc mu o tym, zacząłem oczywiście od szczęśliwego zakończenia.

Catherine poczuła nagle olbrzymią ulgę.

- Spence, jestem szczęśliwa, że Tom już wie. Nie miałam pojęcia, jakich słów użyć. Bałam się, jak to przyjmie.

- Wysłuchał mnie zupełnie spokojnie. Catherine, on jest silniejszy niż ci się wydaje. - Crowley spojrział na medalion wiszący na szyi Briana. - Słyszałem, że wiele przeszedłeś, aby podarować tacie ten medalion. Obiecuję wam, że obaj ze świętym Krzysztofem uczynimy wszystko, aby tata jak najszybciej wrócił do zdrowia.

Chłopcy szarpali już niecierpliwie Catherine za ręce.

- Idźcie, czeka na was - powiedział Spence z uśmiechem. Drzwi do pokoju Toma były nieco uchylone. Catherine

pchnęła je lekko i zatrzymała się w progu, patrząc na męża.

Podłówek łóżka był uniesiony. Tom zobaczył ich od razu i na jego twarzy pojawił się tak dobrze im znany, radosny uśmiech.

Chłopcy podbiegli do ojca i zatrzymali się dosłownie kilka centymetrów

od łóżka. Obaj wyciągnęli ręce i uściśniły dłonie taty. Catherine

zauważyła, że gdy Tom spojrział na Briana, w jego oczach zalśniły łzy.

Jest taki blady, pomyślała. Jestem pewna, że cierpi. Ale na pewno

wyzdrowieje. Widząc, jak chłopcy wspólnie wieszają na szyi Toma

medalion z wizerunkiem świętego Krzysztofa, uśmiechnęła się, co tym razem przyszło jej bez trudu.

- Wesółych świąt, tatusiu - powiedzieli chórem Brian i Michael.

Gdy Tom spojrział na nią ponad głowami synów, wypowiadając

bezgłośnie: Kocham cię, w głowie Catherine pobrzmiwały inne słowa:

„... gdzie się spełnił cud”.